Drugi nakład po konfiskacie.

Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

24 Września, 1936 r. Czwartek Nr. 4 (3)

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Trauguta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6-97-99.

TREŚĆ NUMERU: Porozumienie. — Wieści krajowe. — W. Nienaski. Po wizycie paryskiej. — Kronika zagraniczna. — Marjan Kukiel. Historyczna parallela Hiszpanji z Polską. — Andrzej Czajkowski. Wbrew społeczeństwu. — Jan Bezłaski. Czy upaństwowić? — Kronika ekonomiczna. — (Be-Da). Zaufanie bezprzedmiotowe. — Z 7 dni. — J. Leszczyc. Teatr na rozdrożu. — J. Boniecka. Filharmonja i reszta. — Echa. — List do redakcji. — A. W. Przegląd prasy krajowej. — Azet. Z prasy zagranicznej. — Odpowiedzi redakcji.

Porozumienie

Łączność wysiłków jest tak znana, jak znane są odwieczne przeszkody w każdej pracy. Wiadomo zdawna, że czego nie mógł zrobić jeden człowiek, to robiło dwu ludzi, czy paręset, czy kilka tysięcy, wreszcie cały naród, lub nawet wiele narodów. Chodziło zatem tylko o to, aby doprowadzić do porozumienia odrębnych jednostek i grup. Trzeba było rozbudzić pragnienie wspólne i dowierzanie wzajemne. Nigdy nie wystarczały obietnice dla skupienia mas i ukazanie im celu chociażby ponętnego. Należało jeszcze poznać i zastosować takie warunki, które z ludzi opornych czynią chętnych, które zacierają różnice indywidualne, budzą ofiarność i entuzjazm. Należało pojąć istotę porozumienia.

Życie niekiedy stwarza samo przez się takie warunki. Groza wojny i utraty wolności potrafi połączyć prawie cały naród. Zapomniane są wtedy wzajemne urazy, krzywdy, wyzysk, poniewierka, nędza, występki, czasem i zbrodnie. Im większa łączność występuje, tem większa rękojmia powodzenia dla wszystkich. Więc niema rozdziału. Są różnice, lecz niema waśni. Porozumienie staje się spontaniczne i powszechne. A jeśli w przyszłości nadchodzi chwila rozrachunków za przeszłość, to wliczone są zasługi ofiar poniesionych. Czyste uczucia z grzeszników robią sprawiedliwych.

Niepodobna ograniczyć się w skupieniu wysiłków jedynie do momentów rozpaczy. Porozumienie może zjawić się zbyt późno. Gdyby nastąpiło wcześniej, to o ileż z mniejszym trudem uniknęłoby się nieszczęścia, miażdżącego później zespolone a już bezradne wysiłki. Trzeba przewidywać. Trzeba znaleźć metody wykrzesywania ufności ogółu. Trzeba wiedzieć, kiedy porozumienie staje się osiągalne i trwałe, a kiedy jest beznadziejną próbą, względnie oszustwem w stosunku do społeczeństwa i do samego siebie.

Sygnalizacja niebezpieczeństwa niewiele pomaga. Zanim ono nadejdzie, nieufność rozdrobni grozę na pytania dokuczliwe i bez odpowiedzi. Wojna? A z kim? A w imię czego? Kto jest sojusznikiem? Jak jesteśmy przygotowani? A może udałoby się jeszcze jej uniknąć? Rozsnuwa się wtedy atmosfera podejrzliwości, w której organizatorzy porozumienia są bezradni, a krytycy może mają słuszność, a może błądzą pomimo dobrej woli.

Nie mniej trudne zadanie mają przed sobą twórcy porozumienia węższego. Skoro powstały już jakiekolwiek grupy, związane poglądami, to sam fakt ich istnienia dowodzi naturalnego wzrostu i rozwoju, dowodzi grupowej indywidualizacji. Jakże to połączyć z inną grupą również wyodrębnioną i zwartą? Jaka jest istota kompromisu, umożliwiającego pracę wspólną? Jeśli muszą nastąpić ustępstwa wzajemne, to jakie, w imię jakich korzyści? Gdzie linja demarkacyjna pomiędzy dążeniami jednej i drugiej strony? Dlaczego niektóre porozumienia są fikcją nie do zrealizowania, a tymczasem inne noszą miano uczciwych i rokujących dobrą przyszłość? Czyżby lojalność kontrahentów była warunkiem koniecznym powodzenia? Czyżby równorzędność sił i środków, poświęconych dla osiągnięcia wspólnego celu, wystarczyła dla zgody? Dwie uczciwości i dwa równe posagi mają dawać gwarancję lepszej doli?

Nie. To nie wystarczy. Gdyby tak było, to porozumienie zdarzałoby się zaledwie pomiędzy jednostkami. conajwyżej pomiędzy grupkami drobnemi, ale nigdy w masach. Zasada do ut des niewątpliwie tutaj działa, lecz sama jedna nie rozwiązuje problematu. Nadewszystko w obrębie porozumień politycznych, bo korzyści bezpośrednie są udziałem niewielu biorących, natomiast dających jest mnóstwo. Przekonania ideowe znajdują się na pograniczu z wiarą, gdzie nie pomaga realizm zysków. Musi zjawić się inny czynnik. Trzeba poszukiwać więzi, łączącej strukturę zgody, lecz bez zniszczenia składników.

Warunkiem porozumienia jest zaniechanie rezygnacji. Niewolno żądać od strony przeciwnej wyrzeczenia się. Jest to zawieszenie działań wrogich, powstrzymanie własnej ekspansji, ale bynajmniej to nie oznacza zmiany poglądów i ustępstw ideowych. Porozumienie jeneralne i trwałe byłoby śmiercią obu grup i urodzeniem wręcz odmiennego ugrupowania, a więc przestałoby być porozumieniem. Dla tej samej przyczyny nigdy ono nie nastąpi, gdy jedna ze stron zamiast powiedzieć: przestańmy się teraz zwalczać dla osiągnięcia wspólnego celu, powie: przestań być sobą i pomóż mi w osiągnięciu mojego celu.

Nie było i nie mogło być porozumienia pomiędzy szlachtą polską i chłopami, bo szlachta żądała rezygnacji od chłopów. Nigdy nie nastąpi porozumienie pomiędzy nacjonalistami Polakami i Żydami, bo nacjonaliści polscy wymagają rezygnacji z praw politycznych Żydów. Nie było porozumienia w żałosnej pamięci bezpartyjnym bloku współpracy z rządem, bo jego członkowie musieli podpisywać deklarację wiernopoddańczą bez zastrzeżeń. Niema porozumienia w państwach totalnych, jak Niemcy, Włochy, Rosja, bo są to raczej skupiny mechanicznie spojone przez ucisk i pozbawione wszelkich praw. Nie stwarza warunków do porozumienia ani elitaryzm ustrojowy, ani monopartja, ani dyktatury i kryptodyktatury, ani mity o doskonałościach władców, ani więzienia i obozy karne, ani posady i koncesje protekcyjne, ani propaganda jednego poglądu zapomocą szkół i radja, prasy i książek, mów i uroczystości, propaganda tyleż wytrwała, ile oporu i obrzydzenia obudziła w duszach przeciwników.

Natomiast porozumienie ciągle obserwujemy we Francji republikańskiej, gdzie często zmieniają się rządy, a nigdy prawa obywateli. Tak samo trwa nieustające porozumienie w Anglji demokratycznej, gdzie wigowie i torysi spokojnie ustępują sobie miejsca i nadal razem pracują dla dobra kraju, gdzie zaimek «ja» pisze się z wielkiej litery, gdzie nikt nie zrezygnuje z Magna charta libertatum. Porozumieniem była Unja Lubelska, jako że nie krzywdziła ani Polski, ani Litwy. Porozumieniem, lubo częściowem, była konstytucja 3 Maja, a także konstytucja z 1921 r. Wyłącznie pod wpływem porozumienia w okresie chaosu powstał rząd Ignacego Paderewskiego w 1919 r., albo rząd obrony narodowej Wincentego Witosa w 1920 r. i rząd jenerała Sikorskiego w 1922 r. po zabójstwie ś. p. prezydenta Narutowicza. Wreszcie, z całą pewnością można twierdzić, że nie stałaby się mocarstwem Polska wskrzeszona, gdyby wiele porozumień większych i mniejszych nie zjednoczyło jej i nie umocniło wewnętrznie.

Ponieważ porozumienie jest ratunkiem ostatnim i niezawodnym przeciw niebezpieczeństwu, przeto nic dziwnego, że w chwilach groźnych, jakie przeżywamy dzisiaj, rozlegają się głosy, wzywające do jedności. Słuszne głosy. Zastanówmy się jednak, kto woła. Czy ci, którzy wymagają rezygnacji, którzy dawniej poniewierali i odrzucali opinję, którzy nie chcą zawiesić swych przywilejów i zaniechać agresji? Czy też ci, za którymi stoją miljonowe rzesze narodu, którzy domagają się równości i swobody dla wszystkich?

Odpowiedź na te pytania rozstrzygnie o spokoju lub niepokoju w przyszłości.

Wieści krajowe

Także parcelacja

Intratne (kilkanaście tysięcy miesięcznie) stanowisko pisarza hipotecznego podzielono. Zamiast jednego, będziemy mieli trzech pisarzy hipotecznych z odpowiednio uszczuplonemi dochodami. Rozparcelowanym jest b. minister sprawiedliwości Michałowski, parcelantem jego następca.

W. NIENASKI.

Po wizycie paryskiej

Nie można pominąć niektórych rodzimych przygrywek do wizyty paryskiej gen. Rydza-Śmigłego. Zbyt są charakterystyczne i opowiadają tomy o rozmaitych zaułkach, w których błąka się wciąż jeszcze polska polityka zagraniczna.

A więc pierwszem mot d'ordre było, że wymiana wizyt generalskich to sprawa czysto wojskowa, z polityką nie mająca zgoła nic wspólnego. Czy miało to odwrócić uwagę własnego społeczeństwa, czy uspokoić postronnych? Społeczeństwo świetnie zrozumiało, że układy wojskowe są ukoronowaniem porozumienia politycznego. Mogą być układy polityczne, z których nie wynikają żadne konwencje wojskowe. Ale nie słyszeliśmy, aby porozumienia wojskowe mogły istnieć — przy rozbieżności celów politycznych. I aby bez usunięcia tych rozbieżności można było mówić o zacieśnieniu porozumienia wojskowego.

A postronni? Słyszeliśmy, że po wyjeździe gen. Rydza-Śmigłego jeden z dyplomatów ościennego państwa udał się do autorytatywnego źródła po informacje. «C'est une affaire purement militaire» — uspokajająco zapewnił autorytet. «Mais c'est justement ce, qui nous inquiète»—zareplikował dyplomata. Si non è vero, è ben trovato. Byłoby szczytem naiwności politycznej przypuszczać, że, jeżeli wogóle trzeba uspokajać kogokolwiek z powodu rzeczy tak znanej i prostej, jak przymierze francusko-polskie, można uspokoić kogoś zapewnieniem, że idzie «tylko» o rzeczy... wojskowe.

Lansowano przeto z kolei l'ordre nr. 2. Mówiło się, że wizyta paryska nie oznacza żadnej, ale to najmniejszej zmiany w polityce zagranicznej polskiej. Wszystko pozostaje po staremu. Wizyty generalskie są zwyczajnemi wizytami, wynikającemi z faktu istnienia przymierza, którego nikt nigdy nie zaprzeczał i nikt go nie podważał. Żaden nowy duch, żadna nowa treść i żadne nowe dokumenty.

Obrót spraw i temu mot d'ordre odjął wszelkie podstawy. Bo to i przebiegu wizyty we Francji nie dało się ukryć i teksty

mów co najwyżej się trochę spóźniły i wścibska prasa dowiedziała się o protokule z Rambouillet. A już cios śmiertelny tej wersji zadały względy polityki wewnętrznej. Bo jakże tu mówić o tem, że niema żadnych zmian, a więc i żadnych większych rezultatów, skoro powracającemu wodzowi gotuje się pochód tryumfalny? Pocóż jeździł gen. Rydz-Śmigły do Paryża i co z niego przywiózł, skoro — nie ma żadnych zmian?

I oto mamy mot d'ordre nr. 3. Tym razem już półoficjalnie podała nową wersję «Polska Informacja Polityczna», agencja, której związki z M. S. Z. nie są tajemnicą. W oświadczeniu P. I. P. znalazły się już słowa o «nadzwyczaj doniosłych rezultatach wizyty» i o «ożywieniu sojuszu między Polską a Francją», co «stwierdzić można z najżywszem zadowoleniem». Ta zmiana tonu zaskoczyła tak bardzo drugą agencję, P.A.T., że w swoim serwisie dla zagranicy skrupulatnie opuściła i «doniosłe rezultaty» i «najżywsze zadowolenie». Ale to już był nadmiar gorliwości. Bo nowa wersja polega właśnie na przyznaniu tych wszystkich pięknych rzeczy, którym zaprzeczać już dłużej nie można, i na policzeniu ich — na swój rachunek. Bo to polska polityka zagraniczna zawsze, a już szczególnie w latach ostatnich, największą wagę przywiązywała do sojuszu i do jego wykonywania. Tylko nie rozumiała tego Francja. Dopiero właśnie polityka polska ostatnich lat otworzyła Francji oczy. A osobiste zetknięcie się wodzów «przyczyniło się» [co prawda «w decydującej mierze»] do postanowień, powziętych w ostatnich dniach przez — Francję.

Tak to tłómaczy P. I. P. A komentarze prasowe idą dalej, objaśniając, że to dzięki przewidującej i mądrej polityce dotychczasowej polskiej, w gruncie rzeczy zawsze frankofilskiej i ożywionej najlepszemi wobec Francji chęciami, mogło dojść do tak szczęśliwych rezultatów wizyty paryskiej. Wraca refren, że nie zmieniła się polityka polska. Zmieniła się podobno tylko polityka francuska, która uznała równouprawnienie — excusez le mot — polskie, a nadto — oddala się od Sowietów. W Polsce niema żadnych zmian i żadnych zmian nie potrzeba. Zmiany są na zachodzie.

Nie wiemy czy mot d'ordre nr. 3 będzie już wersją ostateczną. Niewątpliwie z dotychczasowych jest to wersja najzręczniejsza. Bardzo jej tylko szkodzi, że urodziła się tak późno, gdy już obie poprzedniczki zawiodły. Ale i ta wersja nie utrzyma się w świetle rzeczowej krytyki. Nie wszyscy mają krótką pamięć. My np. pamiętamy, że z tem, co określiliśmy jako «równouprawnienie» Polski w sojuszu, z uznaniem zupełnej państwowej równorzędności Polski, ba! jej mocarstwowego stanowiska, przyjechał już do Warszawy ś. p. min. Barthou, a powtórzył to wszystko również w Warszawie min. Laval. I pamiętamy, że jakoś nic z tego nie wyszło. Chyba nie z winy Francji.

Pamiętamy też, że wysiłki francuskie szły w kierunku paktu północno-wschodniego, w którym miały współpracować i Francja i Polska i Sowiety i Niemcy. Abstrahując od proponowanego tekstu tego porozumienia, który bynajmniej nie był czemś nietykalnem, porozumienie takie wydaje się nam czemś nieskończenie lepszem, niż to, co widzimy dzisiaj. Rozbiło się zaś przedewszystkiem o opór Polski, która ułatwiła znakomicie grę Berlinowi, a równocześnie w konsekwencji musiała nolens volens przypatrywać się zbliżeniu francusko-sowieckiemu i czechosłowacko - sowieckiemu. Dziś chciałoby się pracować nad oddaleniem Francji od Sowietów, których zbliżenie wynikło właśnie z mało przewidującej polityki polskiej. I my wolelibyśmy nie być zmuszeni do oparcia o Sowiety. Ale sądzimy, że jest na to tylko jeden skuteczny, natychmiast działający środek. Byłoby nim zaprzestanie i ograniczenie gigantycznych zbrojeń niemieckich. Ale ten środek jakoś nie przychodzi do głowy Berlinowi, któremu tak bardzo podobno zależy na oddaleniu Francji od Sowietów. Nie słyszeliśmy też, aby w tym kierunku pracowała w Berlinie zaprzyjaźniona dyplomacja polska.

Uważamy za rzecz drugorzędną ustalanie, czyja w czem wina i czyja w czem zasługa. Nieskończenie ważniejsze są dla nas nagie fakty, a te z naszego punktu widzenia są ostatnio bardzo dodatnie. Nie zajmowalibyśmy się też temi dziwnemi oświetleniami ostatnich wizyt, gdyby nie jedna obawa. Powiemy szczerze. Obawiamy się, aby fakty takie, jak ostatnie wizyty, nie były czemś wyjątkowem, polityką od wielkiego święta. Natomiast aby codzienna, szara polska rzeczywistość zagraniczno-polityczna nie wróciła, nie trzymała się uparcie swych torów. Historja trzech oświetleń podróży paryskiej gen. Rydza-Śmigłego jest pod tym względem i pouczajaca i niepokojąca. Świadczy o tem, że nie zrezygnowano i że się nie zmieniono. Gutta cavat lapidem non vi, sed semper cadendo. Bezwzględnie nowy kierunek jest dziś silniejszy, oparty i o większe autorytety i o zrozumienie i sympatję społeczeństwa. Ale w codziennych sprawach decydują ci, od których one bezpośrednio zależą. A nie tylko życie ludzi, lecz i współżycie narodów składa się właśnie z drobnych, codziennych spraw. Opinja publiczna musi więc czuwać, aby dodatnie rezultaty osiągnięte w Paryżu nie zagubiły się w drobnych nieporozumieniach i w codziennych posunięciach.

Kronika zagraniczna

Nadmiar tajemniczości

Wrócił z Paryża gen. Rydz-Śmigły, wyjechał z Warszawy minister Bastid, a wciąż jeszcze nic konkretnego nie wiadomo o rezultatach rozmów francusko-polskich. Wiemy, że w Rambouillet podpisano protokuł, w formie ramowej ujmujący wyniki narad. Nie wiemy, czy w ramy te wlano już, i jaką, treść. Nie dziwimy się zupełnie, że tajemnica otacza sprawy, dotyczące współpracy wojskowej. Od biedy możemy zrozumieć, że poufnie traktuje się rezultaty polityczne. Ale dlaczego tajemnica rozciąga się na sprawy gospodarcze? Wszak te w żadnym razie sekretem nie pozostaną. Przydługie milczenie powoduje falę domysłów i plotek. A więc o warunkach, a więc o trudnościach, a przedewszystkiem o cyfrach, cyfrach, cyfrach. Tu tajemniczość może być wręcz szkodliwa. Cyfry mogą być fantastyczne. A potem powie się, że znowu Francuzi zawiedli. „Ja, wissen sie, die Franzosen."

Dzieje jednego przymierza

Przymierze francusko - polskie zawarte zostało w 1921 r. za bytności w Paryżu ówczesnego Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego i gen. Kazimierza Sosnkowskiego. W następnym roku 1922, był w Paryżu gen. Władysław Sikorski. W 1923 r. bawił w Warszawie marszałek Foch. W 1924 r. był znów w Paryżu gen. Sikorski. W r 1925 bawił w Warszawie gen. Gouraud a w Paryżu gen. Stanisław Haller. Od r. 1926 dalszych wizyt wojskowych nie było. Natomiast uległa powolnej likwidacji francuska misja wojskowa w Warszawie. I wiele się rzeczy zaczęło zmieniać na świecie. Francuzi opuścili Nadrenję, Niemcy zaczęli się zbroić. Dziś Francuzi stoją na linji Maginota, Niemcy fortyfikują Nadrenję a stosunek sił pomiędzy sprzymierzonemi armjami francuską i polską, a armją niemiecką wybitnie się przesunął. Nie na korzyść tych pierwszych. I dopiero w r. 1936 był w Warszawie gen. Gamelin i był w Paryżu gen. Rydz-Śmigły. Wiadomo, że szefowie wojskowi nie rozmawiają ze sobą tylko o pogodzie i o sztukach pięknych. A przeto zestawienie dat wizyt kreśli wiernie dzieje przymierza.

Interesowna ideologia

W Norymberdze ogłoszono wojnę świętą, krucjatę, przeciw bolszewizmowi. Oczywiście z pobudek najczystszych, najbardziej ideowych. Ażeby zaś o zupełnej bezinteresowności nie wątpił nikt ani w Niemczech, o które zresztą wcale przecież nie chodzi, bo one są już raz na zawsze wybawione przez hitleryzm od bolszewickiej zarazy, ani wśród ościennych, z czystej troski o których zrodził się plan wiekopomny krucjaty, kanclerz Hitler rozsnuł przed słuchaczami marzenia o tem, jakby to pięknie było, gdyby Ukraina, Ural, Syberja znalazły się w rękach skrzętnego narodu niemieckiego. Oczywiście z krucjatą nic wspólnego to nie ma. Altruizm niemiecki nie budzi żadnych wątpliwości. Że też tylko na świecie nie chcą tego jakoś ludzie zrozumieć!

Kon-Schachty

Był dr. Schacht w Paryżu, wracał przez Berlin min. Bastid z Warszawy. Znowu wybiera się dr. Schacht do Paryża. Mówi się: misja się nie udała, ale kontakt osobisty będzie podtrzymany. I wiadomo: zbrojenia dużo kosztują, Niemcy nie mają pieniędzy. Francja pieniądze ma. A więc słuszna teorja: nikt nie chce, aby Niemcy się dusiły, nikogo nie cieszy niemiecka nędza. I mniej słuszny wniosek: niech francuskie pieniądze i kredyty zasilą rynek niemiecki. I niech Francję nic to nie obchodzi, na co one pójdą. A w każdym razie żadnej kontroli. Bo wiadomo: zbrojenia dużo kosztują, a Niemcy nie mają pieniędzy. Niech więc nikogo nie zdziwi, jeśli z tych konszachtów urodzi się — tragifarsa rozbrojeniowa.

Rozkład czy współpraca?

Podzielone są zdania o rezultatach narady Małej Ententy w Bratysławie. Budapeszt i Berlin upewniają, że ujawniły się na niej takie rozbieżności, że właściwie Małej Ententy już niema, że można się z nią nie liczyć. Bo to Czechosłowacja ciągnie do Moskwy, Rumunja do Rzymu a Jugosławja do Berlina. Ale mimo to sentyment rodzinny właśnie w tej chwili każe min. Neurathowi odwiedzić córkę — w Budapeszcie, a min. Goebbels poczuł specjalne zainteresowanie do greckich dzieł sztuki i odwiedził Ateny, z powrotem również przez Budapeszt. Bo z oficjalnego komunikatu o rezultatach obrad bratysławskich wynika jakoś zgoła co innego. Mała Ententa zacieśniła współpracę do granic,

które każą uważać ją niemal za nowe mocarstwo. I to we wszystkich kierunkach, wojskową, polityczną i gospodarczą. I są już z tego wyniki, szczególnie w Jugosławji, na którą zwrócona jest specjalna uwaga Berlina. Wymiana handlowa z Niemcami, owoc podróży dra Schachta, została wstrzymana. Zastępują ją obroty wewnątrz Małej Ententy. Ekspansji niemieckiej na Bałkany grozi ruina. Przedwczesne więc były tryumfy z powodu rzekomego rozkładu tego ugrupowania. Co więcej, grozi porozumienie Małej Ententy — z Włochami. Zrozumiały więc staje się interes, który nagle poczuli i min. Neurath i min. Geobbels dla Budapesztu.

Genewskie smutki

Ani piękna pogoda jesienna, ani wspaniałości nowego pałacu nie rozproszą smutku, który towarzyszy tegorocznym obradom Rady Ligi Narodów i jej Zgromadzenia. Bo wiadomo, że będzie sporo kłopotów, a to z Abisynją i Włochami, a to z Hiszpanją i Portugalją, a to z wspomnieniami Norymbergi, a to może z mandatami kolonjalnemi, z Palestyną, z Gdańskiem. I wiadomo, że nie będzie, nie może być, żadnych konkretnych rezultatów. W najlepszym razie wszystko się odroczy. Nawet sprawa reformy statutu nie dojrzała jeszcze, bo to nie wiadomo, czy ma być z Niemcami i dla Niemiec, czy bez nich. Wszystko jest pod znakiem zapytania, nawet sama egzystencja Ligi. I jakżeż tu ma być wesoło w zalanych jesiennem słońcem marmurowych salach pałacu nad Lemanem?

Przeciw komu?

Z pozornie luźnych, jak dotąd, prac fortyfikacyjnych w trójkącie Odry i Nissy wyłaniają się już zarysy potężnej, na wielką skalę pomyślanej bazy operacyjnej, której centrum stanowi Wrocław. Największy nacisk położono na adaptacje lotnicze i kolejowe. Liczne hangary i nowoczesne lotniska wojskowe otaczają już miasto, a równocześnie zwiększa się stale możności przepustowe węzła kolejowego.

MARJAN KUKIEL

Historyczna parallela Hiszpanji z Polską

Od pojawienia się pracy Lelewela p. t. «Historyczna parallela Hiszpanji z Polską» dawno już minęło stulecie. Dawał tu śmiałą syntezę losów dwu państw i narodów, hiszpańskiego i polskiego, w XVI, XVII, XVIII w., losów jak pisał, «z jednego kłębka snowanych». Pisał tę rzecz w 1820 roku z okazji wojny domowej w Hiszpanji, rozprawy między królem Ferdynandem VII a hiszpańskimi «exaltados» i grożącej tam interwencji «świętego przymierza». A choć interesujące jego wywody znacznie straciły już na aktualności, bodziec do podobnych rozważań — śmiertelny kryzys hiszpański — znowu się pojawił, przed konieczną asocjacją pożółkła broszura odżywa i natrętne z nią pytanie: czy istotnie z jednego kłębka snowane są losy Hiszpanji i nasze.

Wywodził kiedyś Lelewel, jak to w w. XVI «z jednej strony Hiszpanja, z drugiej Polska są przeważne», jak to w w. XVII «prawie współcześnie ze szczytu wielkości swojej zstępują», jak to w w. XVIII «obie wyniszczone, osłabione, nareszcie w niemocy zdrętwiałe stają się igraszką sąsiadów». Oczywiście, w skrócie takim ukazuje się nam zaledwie uproszczony szkielet konstrukcji. Poza temi zbieżnościami dostrzega Lelewel inne, głębsze zbieżności i różnice. Nicią czerwoną przez jego wywody snuje się teza, że w Hiszpanji «błędy władzy wycieńczyły kraj i naród» a «jedność i spójność wielkiej machiny nie ocaliły»; gdy w Polsce «błędy stanu szlacheckiego poniżały kraj i lud» a «dziwne rozprzężenie i rozkiełznanie narażało rzeczpospolitą na zgubę», że tam było «złe prowadzenie państwa», tu «złe prowadzenie się narodu». Tam «straciwszy wolność polityczną i religijną Hiszpanie, politycznie i moralnie upodleni, wyrzekli się ludzkości i prawości i stracili cnoty domowe i publiczne». Tu «w obłąkanej wolności politycznej, tracąc wolność religijną, Polacy, politycznie i moralnie poniżeni, ubliżyli ludzkości i prawości, a z nadwyrężeniem cnót domowych i publiczne zmartwiały». I oto przeciwieństwa się zeszły: «posępny i nieprzezorny despotyzm» doprowadził Hiszpanów do tegoż stanu, co nierządna wolność, «swawolny demokratyzm szlachecki» Polaków.

Spierać się można z niejednym z poglądów Lelewela co do przyczyn i przejawów degeneracji monarchji hiszpańskiej i Rzeczypospolitej naszej. Nie da się przecież zaprzeczyć tej ostatecznej wywodów jego konkluzji: że tam despotyzm, tu anarchiczna wolność doprowadziły naród do niemocy, państwo do ruiny. Na tem, u progu współczesnych mu spraw zakończył Lelewel swoje porównania, ucinając równoległe dlań nici dziejów obu narodów.

Czy da się nici te poprowadzić dalej równolegle poprzez ostatnie i nasze stulecie? Na to trzebaby lelewelowskiego polotu myśli i godnej Lelewela wiedzy. Zamiast metodycznego wywodu, któryby był kontynuacją jego pracy, ważymy się tylko na garść luźnych myśli.

Wielki historyk zostawił w swych wywodach Hiszpanję pod napoleońskim najazdem, pomijając tak dobrze znany współczesnym fakt jej oswobodzenia, a tem bardziej przez to dając do zrozumienia, że upadek Polski może być również, jak upadek Hiszpanji, rzeczą chwilową, a wyzwolenie bliskiem. Rzeczywistość była inną. Gdy zdegenerowanie monarchji oddało w ręce najezdnika dynastję i kraj, Hiszpanja oswobodziła się dzięki «uporowi i zaciętości» narodu oraz «gwałtownym poruszeniom», ale także dzięki ciągłej, potężnej pomocy zewnętrznej i powaleniu Francji przez koalicję europejską. W tymże czasie Polska napoleońska składała dowody zupełnej dojrzałości narodu do nowoczesnego życia państwowego, zdolności do niezmiernych na owe czasy ofiar i wysiłków, upadała zaś, mimo doznanej potężnej pomocy zewnętrznej, przez ten sam fakt pogromu i upadku cesarstwa napoleońskiego.

Hiszpanja wyniosła ze swej wojny narodowej, prowadzonej w imię monarchy, ale bez monarchy, ideę suwerenności narodu i supremacji przedstawicielstwa narodowego, z zachowaniem zewnętrznych form monarchicznych. Symbolem tej idei była «jakobińska» konstytucja roku 1812. Obalił ją w r. 1814 powracający z niewoli francuskiej Ferdynand VII. Niezdolny pojąć innego systemu rządzenia, jak system samowoli monarszej, doprowadził do oderwania się posiadłości amerykańskich, a wreszcie 1820 r. do rewolucji w kraju i przewrotu. Odtąd więzień junty rewolucyjnej, po trzech latach odzyskał wolność i pełnię władzy przez interwencję Europy, zapomocą bagnetów francuskich. W Hiszpanji przywrócony był absolutyzm przez gwałt, zadany woli narodowej; byt jej państwowy nie był zagrożony ani na chwilę, gdyż nie godziła weń Francja, a na straży jego stała, jak przedtem, Anglja, wspierana przez inne mocarstwa.

Polska pokongresowa wyniosła z doby napoleońskiej rozbudzoną dumę narodową i poczucie dojrzałości własnej do bytu niepodległego; po dawnej Rzplitej brała, jako jej testament, ideę monarchji ograniczonej, praworządnej, z rękojmiami konstytucyjnemi osobistej wolności obywatelskiej i praw reprezentacji narodowej, wolności pogodzonej z rządem. Liberalna konstytucja 1815 r., nadana Królestwu Polskiemu, nie wytrzymała próby życia, nieznośna dla monarchy, bo ograniczająca jego samowolę, niedostateczna dla narodu, bo nie pętająca tej samowoli dość skutecznie. Niewypełnione obietnice przyłączenia ziem zabranych wraz z rozbieżnością między duchem konstytucji a rzeczywistością rządów złożyły się na genezę rewolucji listopadowej; wpływ rewolucji francuskiej i belgijskiej i zapowiedź interwencji rosyjskiej na Zachodzie określiły moment wybuchu. W nierównej walce bagnety rosyjskie podbiły Królestwo pod nieograniczoną władzę carską i zwaliły jego byt państwowy, o który nie upomniała się Europa.

Gdy Polska pogrążała się w niewoli, Hiszpanja przeżywała od r. 1833 powstanie przeciw legalnej władzy regencyjnej na rzecz skrajnie absolutystycznego Don Carlosa, okrutną sześcioletnią wojnę domową, zwycięstwo konstytucjonalistów, stojących przy regentce, rozłam wśród nich, dyktaturę wojskową, wypędzenie regentki, wypędzenie dyktatora, powrót regentki, nowe nieudałe powstanie karlistów, nowe wypędzenie eks-regentki, rządy niepewne i znienawidzone, trzy kolejne konstytucje pozostałe literą martwą. W ciągu przeszło dwudziestolecia zamieszek Hiszpanja ostała się jako państwo i uniknęła zależności od francuskiego sąsiada zarówno dzięki własnej jego niechęci do wojny zaborczej, jak dzięki ubezwładniającej go polityce zaprzyjaźnionej z nim Anglji.

Gdy w roku 1844 konwulsyjny ten okres dziejów hiszpańskich zdawał się zakończony zegnaniem dyktatora Espartero i zwycięstwem umiarkowanych konstytucjonalistów, «christinos», z generałem Narvaezem i ministrem Martinezem de la Rosa, wchodzących zresztą odrazu na drogę zarządzeń antyliberalnych i represyj, Juljusz Słowacki po swojemu podjął lewelowską parallelę w ciepkiej satyrze: «Chcesz wiedzieć, czem dziś byłby nasz kraj, odzyskany w trzydziestym pierwszym roku — to patrz na Hiszpany»[1]). «Austryjak jakiś, baba, siedziałby na tronie» (odpowiednik Izabelli z Marją Krystyną), a «przeciw myślom praktycznej broniliby tezy ministry, uszablone, grube Narvaezy» (rzecz arcymożliwa). Finanse byłyby podobne hiszpańskim, bez kredytu i «cyrkulacji» (jest i w tem pewna doza prawdopodobieństwa). Byłyby trudności z ludem, jak tam: «przyszłoby nareszcie do sikawek, jak w Porta Sol, na Starem Mieście» (sielanka, jak na Hiszpanję, i jak na Warszawę sprawa nie groźna). Czemuż zaś «pod wojennem prawem i pod biczem Barceloną

[1]) Na wiersz ten zwrócił mi łaskawie uwagę rektor Stanisław Estreicher.

byłoby Wilno z Mickiewiczem»? Tyle od Barcelony chłodniejsze—i tyle poczciwsze.

Słowacki czuł może, że analogja tyczy się tu raczej osobistości i przypadkowych sytuacyj, aniżeli istotnej treści życia obu narodów; wiedział, że charakter polski po utracie niepodległości w innym przeobraża się kierunku, jak hiszpański. Stąd ten czterowiersz z odmienną parallelą hiszpańsko-polską: «Gdyby chciał sprawę ducha odnowić Hiszpanem Pan Bóg — byłby im Soulta uczynił sułtanem, a jużby się dziś, jak my, z pod własnych bezwstydów, wydobywali duchem Kolumbów i Cydów».

W powstaniu 1863-4 r. naród polski dał dowody nietylko wielkiego poświęcenia się dla sprawy wyzwolenia ojczyzny, ale rzadkiej solidarności i karności wobec swego rządu tajnego; okazał raz jeszcze zdolność do życia niepodległego jako państwo wśród nowoczesnej Europy. Zgnieciony ogromną przemocą, przy braku czynnej od zewnątrz pomocy, na długie lat dziesiątki został ubezwładniony. Kwestja polska znikała z porządku dziennego polityki europejskiej, na którym stanie wkrótce hiszpańska. W kilka lat potem w Hiszpanji wybuchała bowiem rewolucja, «la Gloriosa», królowa Izabella poszła na wygnanie, nastało bezkrólewie, o tron opróżniony kłóciła się Europa, starły się śmiertelnie Prusy z Francją; elekt włoski nie utrzymał się na tronie; nie ostała się też «pierwsza republika», aż wreszcie, po sześciu latach zamętu, w drodze zamachu wojskowego, «pronunciamento», które stało się instytucją prawa publicznego, wśród rozpalającej się znowu pięcioletniej wojny domowej z «karlistami», przywołano na tron syna wygnanej Izabelli, Alfonsa XII, poczem nastał okres względnego spokoju. Całość i niepodległość Hiszpanji ostała się wśród tych przejść, bo nikt się na nie nie targnął.

Pod rządami Alfonsa XII i jego synapogrobowca, Alfonsa XIII, przeżyła Hiszpanja pół wieku blisko równowagi. Konstytucja z 1876 r. pozostała w mocy aż po rok 1923 (do zamachu stanu generała Primo de Rivera). Równowaga ta zdawała się ustalać; aż do klęskowej wojny z Ameryką Północną 1898 r., okupionej utratą reszty posiadłości zamorskich, zakłócały ją tylko rozruchy separatystyczne w Katalonji i zamachy anarchistyczne. Od czasu wspomnianej klęski zaufanie do króla i monarchji osłabło, wzmogły się siły działające odśrodkowo i destrukcyjnie. Wieki absolutyzmu z następującemi po nich dziesiątkami lat zamętu nie wychowały narodu hiszpańskiego do rządnego konstytucyjnego życia. Nigdzie tak łatwo, jak tam, walki polityczne nie przechodziły w działanie bezpośrednie, akt siły, nigdzie tak słabo nie działały na rządzących i rządzonych hamulce prawa. Nigdzie tak, jak tam nie rozwielmożniły się żywioły czysto destrukcyjne. Nigdzie tak jak tam, w kraju fanatycznie katolickim o przeroście obrzędowości i wybujałem życiu zakonnem nie rozpleniło się skrajne, bojujące bezbożnictwo. Jedyny to był kraj, gdzie anarchja, negująca uporządkowane życie państwowe, stawała się hasłem dla mas, programem potężnego, jawnego obozu (należącego dzisiaj do sprzymierzeńców «ludowego rządu»). Nie na wiele się zdała Hiszpanji roztropna jej i zyskowna neutralność czasu wojny światowej, okres sutej pomyślności. Niepowodzenia marokańskie, obok starych błędów w rządzeniu, rozpętały burzę wewnętrzną. Ratunkiem zdało się królowi «pronunciamento» wojskowe i dyktatura generalska, wiodąca poprzez izolację i zdyskredytowanie króla i dynastji do rewolucji republikańskiej.

Tak przyszła w kwietniu 1931 r. po kapitulacji i odjeździe króla »druga republika« hiszpańska, wprowadzając suwerenność ludu, supremację parlamentu, równość praw wyborczych. Otwarcie na oścież drogi do parlamentarnej walki o programy i hasła nie położyło kresu akcjom bezpośrednim, zapomocą mordu i gwałtu. Władza wykonawcza, zdana na łaskę i niełaskę stronictw, nie umiała skutecznie przeciwstawić się anarchicznym zamachom. Władza legalna w walce z opozycją stosowała lub tolerowała bezprawie. Opozycja nigdy tu nie krępowała się prawem. Wreszcie, po ostatniem zwycięstwie wyborczem frontu ludowego, wśród pożogi i mordów wszczęła się obecna wojna domowa, brocząc Hiszpanję krwią i pustosząc. Nikt jednak nie wątpi, że Hiszpanja — czy zanarchizowana i ewoluująca ku komunizmowi, czy pod dyktaturą wojskową — utrzyma się jako państwo niepodległe i zachowa nawet swój stan posiadania. Znowu nikt naruszać go nie myśli. A gdyby ktoś chciał interwenjować inaczej, jak pośrednio i chyłkiem, nie dopuszczą do tego inni. Mówiąc o upadku politycznym Hiszpanji i Polski z końcem XVIII w., stwierdza Lelewel: «Wszystkie te nieszczęśliwe wewnętrzne przyczyny, mogły pociągnąć nędzę, rewolucję, nareszcie i przywrócenie porządku w kraju, ale nie upadek: gdyby się do nich zewnętrzne nie mieszały». Dane są dziś wszelkie wewnętrzne czynniki upadku Hiszpanji. Ale brak czynników zewnętrznych. Hiszpanie mogą mordować się wzajemnie bez troski o całość i niepodległość swej ojczyzny. Pierwszy prezydent ich nowej republiki, Zamorra, stwierdził świeżo, że nieszczęściem w dziejach wewnętrznych Hiszpanji był brak niebezpieczeństwa, któreby zagrażało jej granicom. Dają też Hiszpanie wyraz swej niefrasobliwości słowem i czynem.

W wyniku wojny światowej, przez sam fakt programu trzech mocarstw rozbiorowych, prostym odruchem woli narodowej Polska wróciła jako państwo na widownię dziejów. Wojną spustoszona, zrujnowana, wyczerpana i zubożała na długo, przez spory orjentacyjne, z wojną tą związane, na długo jeszcze rozdarta, przez wiekową niewolę źle przygotowana do państwowego życia, spragniona wolności, choć czujna na zewnętrzne niebezpieczeństwa, instynktownie solidarna i ofiarna, gdy szło o byt państwa, umiała go utrwalić, granice swe własnym czynem zakreślić i obronić. Powstała jako republika demokratyczna. Jeszcze w ciężkiej walce o istnienie, oddała władzę suwerenną sejmowi ustawodawczemu. Wystawiła się na całe niebezpieczeństwo rozgrywek stronniczych w chwili niebezpieczeństw zewnętrznych. Ze wszystkich tych niebezpieczeństw wyszła obronną ręką, coraz rządniejsza wewnętrznie, mocniejsza na zewnątrz. Supremację przedstawicielstwa narodowego, z uzależnieniem zupełnem od niego władzy rządowej utrwaliła pierwszą swą konstytucją na pięciolecie.

Dalecy jesteśmy od Hiszpanji. Dalsi, niż w XVIII w. Oddaliliśmy się od niej w miarę dojrzewania i krzepnięcia naszego ducha narodowego. Po wskrzeszeniu państwa zbieg okoliczności kazał nam przeżyć chwile dziejowe, przypominające treść powszednią dziejów wewnętrznych hiszpańskich. Znajdujemy się w położeniu wewnętrznem, nie pozbawionem niebezpiecznych analogji, przy fatalnej, bijącej w oczy różnicy, gdy idzie o sytuację zewnętrzną. Jak wyjdzie z tego Polska, zadecyduje o tem z jednej strony jednolitość i siła woli narodowej, z drugiej strony rozsądek i sumienie tych, którzy ponoszą odpowiedzialność.

ANDRZEJ CZAJKOWSKI

Wbrew społeczeństwu

Człowiek ma instynkt gromadny. Samotnie żyć nie umie. Łącząc się w społeczeństwo, musi wytworzyć choćby podstawowe normy, któreby określały jego stanowisko w gromadzie. Im zaś życie bardziej się rozwija, tem lepiej ukształcone zostają owe normy, przechodząc z zasad prymitywnych do form wyższych i rozgałęziając się coraz więcej. Część z nich zyskuje godność i powagę prawa.

Warunkiem istnienia i obowiązywania normy jest powszechne przekonanie o jej potrzebie i mocy obowiązującej. Jeśli jakiś przepis ma być w danem społeczeństwie szanowany, to wszyscy muszą być przeświadczeni, że przepis taki istnieje, jest potrzebny i należy go przestrzegać.

Prawdziwym, rzeczywistym i nieomylnym prawodawcą jest społeczeństwo, jako ostateczne źródło norm. Wszelkie zaś t. zw. «ciała prawodawcze», będące tylko organami społeczeństwa, winny mieć za zadanie ubranie w odpowiednią formę potrzeb prawnych swojego mocodawcy.

Niestety—organy często błądzą. Starają się temu zapobiec systemy referendum, gdzie całe społeczeństwo wypowiada się za lub przeciw jakiejś zasadzie, i systemy parlamentów, w których rolę sprawdzianów pełni przedstawicielstwo społeczeństwa. Takie systemy pozwalają prawodawcom-substytutom wprowadzać poprawki do swoich pomysłów według wskazań właściwego prawodawcy.

Gorzej natomiast przedstawia się sprawa, gdy prawodawca-substytut wyzyska chwilową konjunkturę i zerwie ze społeczeństwem. Wygrywając fakt, że prawa tworzą się powoli i że niekiedy społeczeństwo daje wmówić w siebie, że przepis jest prawem, korzystają ze swobody prawodawczej i, mając na względzie tylko własną wygodę, osłabiają — nieraz na długie lata — zdrowe poczucie prawne. Wszelako taka gra udaje się do czasu: nieunikniona jest reakcja, tem gwałtowniejsza, im dłużej odwlekana.

Przepis, który nie ma oparcia w powszechnem odczuciu społeczeństwa, jest zgóry skazany na śmierć lub zwyrodnienie. Bądź idzie w niepamięć i zawisa niejako

w próżni, bądź, zachowując pierwotną formę, zyskuje nową treść, odmienną od intencyj prawodawcy z substytucji, lecz zgodną z intencją prawodawcy właściwego. To nie jest niebezpieczne, bowiem gdy przepis uschnie — szkody nie wyrządzi, jeśli zaś zwyrodnieje, to, skoro społeczeństwo przyjmie jego formę a da inną treść, najwyżej będzie dziwoląg.

Niebezpieczeństwo kryje się gdzieindziej. Mianowicie, występuje ono wówczas, gdy fałszywy prawodawca, głuchy na głos społeczeństwa, wierzy, że on, lecz nie ono wydaje normy; że on jest powołany do regulowania życia; że on chce — w swojem mniemaniu — uszczęśliwić społeczeństwo, a ono przeszkadza mu w posłannictwie; że jego ma się słuchać to społeczeństwo, które go powołało do życia i dzięki któremu on wogóle istnieje; że on ma rację; że jaje mądrzejsze od kury.

W organizmie państwowym zdarza się to najczęściej wtedy, gdy autorytatywność i megalomanja chwilowych posiadaczy władzy doprowadzi do rozluźnienia a nawet zerwania porozumienia ze społeczeństwem. Rozdźwięk ów pogłębia się z dnia na dzień, gdy władcy otępieni powodzeniem nie chcą i nie umieją dać posłuchu jedynemu sprawdzianowi norm — społeczeństwu.

Sytuacja taka nabiera jaskrawości jeszcze dzięki temu, że — zazwyczaj — występują w niej ludzie w podwójnej roli: prawodawców i wykonawców jednocześnie.

Nie można wyobrazić sobie zgubniejszego połączenia. Ci bowiem, którzy zamiast odgadywać żądania społeczeństwa, przejawiające się w jego odruchach, patrzą na wydane przez siebie przepisy z punktu widzenia wykonawcy, nabierają z czasem rutyny pogromców. A jeśli ktoś śmie im zarzucić błąd, mówią o buncie i defetyzmie, o przeszkodach w wykonywaniu prawa, nie zastanawiając się, że przepis, wydany wbrew powszechnemu poczuciu, pozostanie zawsze przepisem i godności prawa nie zyska.

Przekonani o buncie i kłodach pod nogi im rzucanych — gnębią. W imię prawa, które prawem nie jest, w imię sprawiedliwości, której niema. Gnębią, lecz tylko jednostki. Mogą je złamać, sponiewierać, spodlić. Natomiast społeczeństwa nie pokonają, bo nikt nikomu nie wydrze świadomości. A tu właśnie świadomość społeczeństwa decyduje co jest słuszne, co jest funkcją naturalną.

Świadomość ta nieraz kształtuje się wolno, działa jednak zawsze nieomylnie. Mylą się jedynie ci, którzy własne zasady chcą przeprowadzić wbrew woli społeczeństwa. Niepomni, że vox populi — vox dei, zamiast go słuchać, czytają raporty policji i stamtąd czerpią natchnienie przy ustalaniu norm prawnych.

Rezultat jest wiadomy. Albo będzie wiadomy.

JAN BEZŁASKI

Czy upaństwowić?

Rzadko kiedy dyskusja ekonomiczna w prasie codziennej ma charakter rozważań czysto programowych, to znaczy, oderwanych od konkretnych spraw, konkretnych zagadnień. Rzadko kiedy również dyskusja taka oderwana jest od bieżących zagadnień politycznych. Tak jest i z dyskusją na temat sytuacji i dalszych losów przemysłów surowcowych w Polsce, w szczególności przemysłu hutniczego i węglowego.

Jeśli chodzi o ocenę tej sytuacji, to wszyscy są zgodni: jest źle, nawet bardzo źle. Jaskrawym tego dowodem jest fakt, że przedsiębiorstwa górnicze i hutnicze, nie mogąc przez szereg lat dokonywać niezbędnej amortyzacji, są dzisiaj w znacznie gorszym stanie technicznym, niż były kilka lat temu: ich zdolność wytwórcza względnie wydobywcza zmalała o całe 30% i to w tym samym okresie, kiedy na całym świecie, a przedewszystkiem w Niemczech i Z. S. R. R., zdolność wytwórcza tych przemysłów znakomicie wzrosła.

Ten stan rzeczy nie może być tolerowany nie tylko ze względów gospodarczych, ale i łatwo zrozumiałych względów politycznych. Trzeba się zdecydować na stanowcze środki zaradcze.

Jakie?

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że wysuwane są dwa djametralnie ze sobą sprzeczne projekty: jeden domaga się upaństwowienia przemysłów surowcowych, drugi, przeciwnie, żąda rozluźnienia państwowej ingerencji. Oczywiście, dyskusja komplikuje się przez włączenie do niej momentów natury czysto politycznej. Z jednej bowiem strony jasną jest rzeczą, że zwolennicy ustroju prywatno - gospodarczego przeciwstawiać się muszą upaństwowieniu tak ważnej dziedziny gospodarstwa narodowego, choćby nawet obecna sytuacja przemysłów surowcowych była spowodowana nieudolnością prywatnych dysponentów w tych przemysłach, z drugiej zaś dążenie do upaństwowienia przemysłów surowcowych, choćby nawet państwo było odpowiedzialne za ich obecny stan, niewątpliwie łączy się z przejrzystą kalkulacją polityczną. Położenie ręki na tych przemysłach pozwala uniknąć zdania rachunku opinji publicznej z polityki gospodarczej w tak ważnej dziedzinie, co więcej, pozwala na bardzo silne «podparcie» obecnego regime'u: zarówno przez uzależnienie bezpośrednio od państwa kilkuset tysięcy ludzi (pracowników i ich rodzin), jak uzależnienie wszystkich tych przemysłów, ktore na żelazie i węglu są oparte, t. zn. w praktyce całego przemysłu w Polsce.

Postaramy się potraktować zagadnienie, abstrahując od jego strony politycznej, bynajmniej zresztą nie błahej. Dla uniknięcia też wszelkich nieporozumień stwierdzamy odrazu, że ze względów politycznych jesteśmy jaknajbardziej przeciwni takiemu wzmocnieniu przewagi państwa nad społeczeństwem i życiem gospodarczem. To jednak nie załatwia gospodarczej strony całego zagadnienia.

Aby dojść do prawidłowego rozstrzygnięcia postawionego dylematu: zmniejszenie ingerencji państwa do spraw przemysłów surowcowych czy też, przeciwnie, rozszerzenie jej aż do upaństwowienia tych przemysłów, należy uprzednio odpowiedzieć sobie na kilka pytań, mianowicie: kto miał dotychczas decydujący głos w dysponowaniu przemysłem surowcowym w Polsce? czy prywatna inicjatywa w przemyśle surowcowym zawsze łączy się z upadkiem tego przemysłu? jak się przedstawiała polityka państwowa w stosunku do tego przemysłu u nas? i wreszcie, czy w naszych warukach inicjatywa prywatna w przemyśle surowcowym przejawiała jakąś pozytywną działalność.

Odpowiedzi na te pytania powinny nam dać gospodarcze rozstrzygnięcie dylematu, który ma pierwszorzędne znaczenie dla przyszłości gospodarczej Polski. I dlatego właśnie, że zagadnienie to jest tak dużego kalibru, staraliśmy się sprowadzić je do kilku prostych pytań, mających, naszem zdaniem, podstawowe znaczenie.

Pierwsze pytanie nie nastręcza żadnych trudności: jest rzeczą dostatecznie znaną, jak daleko sięga ingerencja państwa do spraw przemysłów surowcowych, zarówno formalna, jak faktyczna. Obejmuje ona zagadnienia tej wagi, jak organizacja kartelowa w żelazie, węglu i nafcie, reglamentowanie cen, rozmiary zatrudnienia (na Śląsku i formalnie i faktycznie, w woj. krakowskiem i kieleckiem faktycznie), poziom płac, wysokość obciążeń publicznych (włączając w to «dobrowolne» dotacje i subwencje na wskazane zgóry cele), taryfy kolejowe na tworzywa i produkty tych przemysłów. Trudno jest ująć liczbowo ten wielki zakres, jaki państwo sobie zastrzegło do decyzji; w każdym razie obejmuje on niemal wszystkie istotne sprawy w przemysłach surowcowych, zwłaszcza jeśli się przytem uwzględni, że stanowiska kierownicze w tych przemysłach są obsadzone w wielu wypadkach pod presją rządu ludźmi, odpowiadającymi nietyle przemysłowi, ile właśnie rządowi. Tak się przedstawia pierwsza odpowiedź. Ma ona raczej charakter przypomnienia, gdyż są to wszystko rzeczy dobrze znane i niesporne.

Nietrudna jest też odpowiedź na drugie pytanie: czy prywatna inicjatywa w przemyśle surowcowym łączy się zawsze z upadkiem tego przemysłu? Wystarczy bowiem wskazać na kraje zachodnio-europejskie, gdzie przemysł ten został stworzony i rozwija się całkowicie w rękach prywatnych. I u nas zresztą przemysł ten stworzony został i doprowadzony do wysokiego stopnia rozwoju technicznego przez inicjatywę prywatną. Jak się przedstawia polityka państwowa w stosunku do przemysłu surowcowego w ostatnich latach w Polsce? Tu już odpowiedź nie jest łatwa. Albowiem była to polityka w założeniu swem deflacyjna, natomiast nie była taką w praktyce. W praktyce bowiem deflacji poddane były ceny, natomiast wszelkie koszty produkcji ulegały zwyżce, bądź nie były obniżane równolegle do zniżki cen — właśnie przez politykę państwową.

Powiadamy odrazu, że jesteśmy zwolennikami możliwie niskich cen—ma to z kilku względów duże plusy. Ale nie możemy oceniać dodatnio polityki, która jest jednocześnie w jednej i tej samej dziedzinie i deflacyjna (jeśli chodzi o ceny) i inflacyjna (jeśli chodzi o elementy ceny, t. j. koszty produkcji). Żaden kraj w Europie takiej polityki nie prowadził, gdyż bardzo łatwo kończy się ona katastrofą. Tak właśnie przedstawia się sytuacja w wypadku przemysłu hutniczego i węglowego w Polsce. Przymusowe obni-

żanie cen z jednoczesnem podnoszeniem ważnych elementów tych cen (wzrost ciężarów publicznych, niedopuszczanie do koncentracji produkcji na najtaniej pracujących warsztatach) doprowadziło do zwichnięcia równowagi między ceną a kosztami, tak znacznego, że nawet zwyżka zbytu tego zrekompensować nie może. Natomiast obniżanie cen z jednoczesnem obniżaniem elementów tych cen, t. j. uzależnionych od państwa kosztów produkcji, dałoby dodatnie wyniki i dla gospodarstwa narodowego i dla przemysłów surowcowych.

Cóż mamy zapisać na rachunek inicjatywy prywatnej w przemysłach surowcowych w tym zakresie, jaki jej został pozostawiony? Niewątpliwie i tu popełniono szereg błędów. Wskażemy np. na niedostateczne załatwienie sprawy t. zw. eksportu pośredniego, t. zn. dostaw węgla i żelaza dla tych przemysłów, które eksportują gotowe wyroby, zużywając do produkcji tej węgiel i żelazo; na niedość sprawną obsługę klienteli — bywały wypadki, że klient nie dostawał dostatecznie szybko danego sortymentu węgla, czy profilu żelaza. Za najważniejszy wszakże błąd uważamy niedość samodzielne stanowisko przemysłów surowcowych wobec rządu. Zbyt często w imię dobrych stosunków z rządem przemysł godził się na współodpowiedzialność za posunięcia, o których twierdził, że są szkodliwe. To nie mogło wzmacniać zaufania do oświadczeń przemysłu ani w rządzie, ani w opinji publicznej.

Na plus inicjatywy prywatnej w przemyśle surowcowym, i to — przyznać musimy — ważny plus, zapisać natomiast należy znaczne — bo sięgające ca 20% obniżenie kosztów produkcji, mimo że co do większości elementów tych kosztów przemysł nie miał swobody działania.

* * *

Staraliśmy się w naszych rozważaniach objektywnie rozkładać światła i cienie. Jeśli więcej cieniów wypadło po stronie polityki rządowej — to jest to prosty skutek tego faktu, że dyspozycja w najważniejszych sprawach przemysłów surowcowych dotyczących, pozostawała w rękach rządu. Biorąc w swoje ręce dyspozycję w najważniejszych sprawach, rząd wziął też na swoje barki największą odpowiedzialność. Nigdy jedno od drugiego oddzielić się nie da. Dlatego też za obecny fatalny stan przemysłów surowcowych polityka państwowa ponosi lwią część odpowiedzialności. I podnoszone z wielu stron błędy przemysłowców w niczem nie zmniejszają błędów polityki rządowej, ani nie przekreślają faktu, że w najważniejszych sprawach przemysłowcom odebrano nawet możność popełniania błędów, bo odebrano im decyzję wogóle.

Przykład przemysłów surowcowych jest dla zagadnienia gospodarki państwowej niezmiernie pouczający, właśnie dlatego, że w tych przemysłach upaństwowienie posunęło się już bardzo daleko, skoro państwo decydowało w najważniejszych sprawach.

Przykład ten nie zachęca do dalszej etatyzacji. Przeciwnie, odstrasza.

Kronika Ekonomiczna

Z powodu rozmów pożyczkowych:

(j b.) O ile bezpośrednio po powrocie Gen. Inspektora Sił Zbrojnych z Paryża cała prasa rozbrzmiewała wiadomościami o pożyczce francuskiej w wysokości około 1 miljarda złotych, to obecnie na ten temat zapanowała cisza. Jest to zrozumiałe: obecnie niewątpliwie toczą się rozmowy co do szczegółów tej tranzakcji, rozmowy z natury rzeczy trudne i skomplikowane. Dlatego też byłoby rzeczą conajmniej niewłaściwą bawić się w obecnej chwili w zgadywanie poszczególnych postanowień układu pożyczkowego.

Natomiast najzupełniej na czasie jest rozważać, jakie zagadnienia finansowe i gospodarcze nasuwają się w związku z pożyczką francuską.

Pożyczka ta ma być, jak wiadomo, finansowo-towarowa. Oczywistem jest, że w interesie naszym leży, aby część towarowa była jaknajmniejsza, a część finansowa jaknajwiększa. Nie dlatego nawet — choć i to jest niezmiernie ważne — że moglibyśmy odpowiednio więcej wyprodukować w kraju, ale dlatego przedewszystkiem, że wówczas mielibyśmy większą swobodę w wyborze dostawcy ze wszystkiemi płynącemi stąd korzyściami.

Równie bodaj ważne jest pytanie, co będzie stanowiło przedmiot tranzakcji towarowej. Z naszego punktu widzenia najmniej pożądane są gotowe wyroby, a najbardziej takie nieprodukowane w kraju instalacje i maszyny, które pozwoliłyby nam stworzyć u siebie te działy czy rodzaje produkcji, których nie mamy, a które są nam szczególnie potrzebne. Bo to dopiero byłoby trwałem zaspokojeniem odczuwanych potrzeb.

Wreszcie, jeśli otrzymujemy pożyczkę częściowo w towarze a częściowo w gotówce, to niezmiernie ważnem jest, aby zwrot nastąpił według tych samych zasad i aby przy zwrocie utrzymana była taka sama proporcja między towarem a gotówką jak przy otrzymaniu pożyczki.

O znaczeniu gospodarczem pożyczki będzie pora napisać, gdy będą wiadome bliższe szczegóły. Obecnie wskazaliśmy tylko na zagadnienia, jakie się w związku z pożyczką nasuwają.

Hufce pracy

(j. b.) Projekt stworzenia hufców pracy dla bezrobotnej młodzieży ma niewątpliwie dużo dobrych stron. Niewątpliwie jest lepiej, aby wałęsająca się i demoralizująca się, a przytem cierpiąca głód młodzież wciągnięta została do pracy i ujęta w ramy społecznego życia. Uważamy też za dodatnią stronę projektu, że kierownictwo hufców p acy objąć mają czynniki wojskowe.

Natomiast nie trzeba się łudzić, aby stworzenie hufców pracy rozwiązywało zagadnienie bezrobocia młodzieży. Z natury rzeczy może to być tylko środek przejściowy, a to dlatego przedewszystkiem, że normalny rozwój kraju — kulturalny, społeczny i gospodarczy — wymaga i wywołuje zróżniczkowanie zajęć i zawodów. Zróżniczkowanie to — pożądane i korzystne — oczywiście nie da się przeprowadzić w kadrach hufców pracy, wymagających przy zmasowaniu młodzieży ograniczenia rodzajów jej zatrudnienia do kilku i to takich, które wymagają pracy stosunkowo prostej i zbiorowej. Najbardziej też pożądane byłoby gdyby znikła potrzeba tworzenia organizacyj w rodzaju hufców pracy, gdyby wchodzący w życie człowiek mógł liczyć na normalne zdobycie pracy.

Nasuwa się tu przytem jeszcze jedna uwaga. Życie zbiorowe ma swoje bardzo dobre strony, ale ma i swoje niebezpieczeństwa. Bardzo tu dużo zależy od właściwego kierownictwa, właściwego wychowania jakie młodzież w tych hufcach pracy otrzymywać będzie. I zależnie od tego jakie będzie to wychowanie hufce pracy mogą stać się doskonałą szkołą obywatelską, albo też... pepinjerą reżimu.

Konferencja gospodarcza

(j. b.) Narada Gospodarcza z wiosny bieżącego roku nie dała w praktyce żadnych widocznych rezultatów. Inne też cele miała Konferencja Gospodarcza, zwołana w połowie b. m. z inicjatywy i pod przewodnictwem vice premjera p. E. Kwiatkowskiego. Tym razem chodziło o „podniesienie ducha" wśród sfer gospodarczych, które pomimo pewnego polepszenia się sytuacji w ostatnich miesiącach, nie wykazywały skłonności do wyraźnego optymizmu. Przyczyniał się do tego niewątpliwie również fakt, że w ostatnich czasach kontakt między czynnikami rządowymi a sferami gospodarczemi był raczej dość luźny.

Cel ten został osiągnięty. Konferencja odbyła się w atmosferze dość pogodnych i optymistycznych nastrojów. Nie bez wyjątków jednak. Podkreślano bowiem na konferencji — i to bardzo silnie — że przemysły surowcowe nie uczestniczą w ogólnej poprawie. Nie widać jednak, aby z tego zgodnego stwierdzenia wyciągnięto jakieś praktyczne wnioski. Co więcej w czasie konferencji podjęta była bardzo silna — w formie — próba obrony dotychczasowej polityki w stosunku do pzzemysłów surowcowych.

Będzie rzeczą interesującą obserwować, czy po tej konferencji sfery rządowe będą miały bardziej chętne ucho dla inicjatywy i koncepcyj, pochodzących ze sfer gospodarczych, czy też wszystko pozostanie postaremu

(BE-DA)

Zaufanie bezprzedmiotowe

Wiele instytucyj państwowych, półpaństwowych i pod bezpośrednim wpływem wyższych władz administracyjnych ogłasza ostatnio szumnie i szeroko o wybitnym wzroście wkładów i oszczędności. Wzrost ten w roku bieżącym był dość znaczny, a przedewszystkiem tak nagły, że zasługuje na głębsze zastanowienie.

Pisma, reprezentujące tak zw. „nakręcaczy konjunktury", fakt wydatnego wzrostu oszczędności tłumaczą nam w sposób niesłychanie różowy i zarazem bałamutny. „Oto, — powiadają — mamy najwymowniejszy dowód stabilizacji stosunków, mamy dowody bogacenia się społeczeństwa, wiary i zaufania do obecnej rzeczywistości". Niektóre broszurki zainteresowanych instytucyj idą w tych wnioskach jeszcze dalej i we wzroście kapitalizacji widzą jutrzenkę powszechnego w Polsce dobrobytu i nieomal wilję dnia, w którym cały nasz naród przemieni się w jednolitą gromadę zasobnych rentjerów.

Tymczasem sprawa nie przedstawia się tak prosto i ładnie. Pomijając już to, że wzrost oszczędności ostatnio stosunkowo znaczny, jest w porównaniu ze stanem oszczędności — choćby tylko francuskiej — niezmiernie mizerny, jest on przedewszystkiem objawem raczej niepewności i wyrazem prawie ogólnego mniemania, że „czarna godzina" nie jest tak daleka. Jest on wyrazem wiary do stałości waluty, a nie do stosunków, umożliwiających produkcję.

To jest istotną cechą zauważonego ostatnio „pędu" oszczędnościowego.

P. K. O., wszystkie K. K. O. oraz banki i bankzi, usiłujące ostatnio zgromadzić jaknajwiększe kapitały od „ciułaczy", są właściwie narzędziem w ręku naszych władz skarbowych i pracują pośrednio lub bezpośrednio dla nich, raz silniej, raz słabiej w zależności od naszych

deficytów w budżecie państwa. Wszystkie szerzą propagandę przeciw - tezauryzacyjną, walcząc, słusznie, ze schowkami w siennikach i pończochach, ale same wraz ze swemi skarbcami są niejako pewną uszlachetnioną formą tezauryzacji, tem bliższą symbolicznej pończosze, im bardziej stroniącą od lokowania kapitałów w żywej produkcji przemysłowej. Tylko wytwarzanie, t. j. produkcja skierowana do zaspakajania wszelkich potrzeb ludności jest — w ostatecznej formie — najidealniejszym rezerwoarem dla wolnych, czy „zaoszczędzonych" kapitałów.

Więcej nawet: te wolne kapitały są właśnie owocem produkcji, prowadzonej w normalnych warunkach opłacalności i zysku godziwego. Tym sposobem przemysł, rolnictwo, czy rzemiosło, dając w normalnych warunkach wytwórczości taki a taki odsetek czystych zysków, pracuje jednocześnie na siebie: przez osiągniete z produkcji zyski może rozszerzyć warsztaty pracy, zatrudnienie i produkcję. Im ten obrót jest żywszy, tem tętno życia danego narodu jest mocniejsze i zdrowsze.

Sprobójmy teraz spojrzeć na ten wzmożony ostatnio, ale wciąż jeszcze wątły nurt, jakim wpływają do różnych pocztowych i komunalnych kas oszczędności grosze naszych „ciułaczy". Często są one odpryskiem wysokich gaż niektórych uprzywilejowanych kacyków naszej współczesności, czasem owocem spekulacji, często objawem ograniczenia potrzeb, kurczącego i tak skromną naszą konsumcję. Nurt wspomniany, napotkawszy na największe ułatwienia, na jakie obywatel Polski współczesnej może wogóle liczyć w instytucjach urzędowych, dostają się do skarbców kakaowych i pekaowych i tam jest rozdrabniany. Największa jego część lokowana jest w papierach państwowych, co jasno widać z ogłaszanych bilansów, i nie może być tak prędko uruchomiona, czego już z powyższych bilansów wyczytać nie podobna. Można natomiast wyobrazić sobie łatwo, że gdyby owe lokaty chcieć „upłynnić", to wspomniane, a często już zapomniane papiery, rzucone na rynek, spadłyby w swej wartości w okolice zera absolutnego. a w każdym razie w rejony „niskich temperatur". Inne lokaty (nieruchomościowe, terenowe) mniej budzą niepewności, nikomu za rezerwy budżetowe, ani obiegowe nie służą, ale też dla produkcji i tętna gospodarczego są niemal bez żadnego znaczenia.

A tymczasem anemizują to życie. Cały ostatnio ujawniony „pęd oszczędnościowy" nie jest oczywiście takim potwornym upustem krwi, jaki przeszła Polska w miesiącach pożyczek dobrowolnych. Tamto było rodzajem zastosowania chirurgji średniowiecznej, ten objaw — jest zjawiskiem współczesnem i bądź co bądź naturalnem.

Ale smutnem. Ci wszyscy, którzy niosą swe grosze, złotówki czy ich tysiące do kas oszczędnościowych, wiedzą, że to jest „tymczasem" najpewniejsze. Pewniejsze, bo nikt nie wie jaka za miesiąc, czy rok spadnie reforma podatkowa od warsztatów pracy, czy długo będzie jeszcze się zdarzało, że jeden podatek trzeba płacić dwa razy, czy w okresie walki z bezrobociem, przedsiębiorca zwiększający liczbę pracowników ponad 10, będzie skazywany na haracz dla funduszu pracy?

Tego wszystkiego „ciułacze" nie są pewni. Wierzą w stałość złotówki, ale nie wierzą w korzystne warunki dla produkcji.

Gdy nadejdzie czas, że uwierzą, przestaną tak gwałtownie „oszczędzać". Wędliniarz zyski z wędliniarni przeznaczy na powiększenie swego interesu, kiniarz zacznie produkować filmy, szewc założy warsztat mechaniczny. Dopiero gdy ci wszyscy, co wytwarzają szpilki, buty, żyletki, kosy, sukna, zegarki, lokomotywy, perfumy, nici, naftę, obrabiarki, węgiel, guziki, zboże i to wszystko, co przynosi pospolity t. j. publiczny pożytek, a producentowi nietylko satysfakcję wytwarzania, ale i korzyść, — wtedy dopiero gdy oni powiększą lub otworzą nowe warsztaty pracy i wzmocnią żywe tętno w organizmie gospodarczym — nastąpi powód do uzasadnionej radości.

Będziemy wówczas premjowali nie książeczki oszczędnościowe, ale — mówiąc stylem radosno urzędowym — „uroczystość" przyjęcia setnego pracownika do fabryki kos, która przed rokiem była skromnym warsztacikiem, zatrudniającym trzech pracowników.

Wówczas nie będziemy się martwić chwilowem zahamowaniem wzrostu oszczędności. Słowa o pewności i zaufaniu będą się stosowały nie do skarbca zamkniętego na 7 bram stalobetonowych, lecz do życia.

Tej pewności i tego zaufania współczesne stosunki gospodarcze i przemysłowe jeszcze nie budzą.

Z 7 dni

W okolicach Siedlec chałupnicy zarabiają 6—8 groszy za godzinę pracy, przyczem przedsiębiorcy często wypłacają kwitami na posiadane przez nich towary. W Małopolsce zdarzają się przykłady zarobków 15 groszy dziennie. W każdym razie nie zalicza się ich do bezrobotnych, a to już jest dużą ulgą dla — statystyki oficjalnej.

*

Sześć czasopism paryskich utraciło w Polsce debit za uprawianie pornografji, a tygodnik Vu — za propagandę komunistyczną i, zapewne, za ciekawość w stosunku do ul. Wierzbowej.

*

Kongres i uroczystości jubileuszowe dla uczczenia pamięci Piotra Skargi dały okazję nielicznym zwolennikom absolutyzmu do licznych cytat z kazań natchnionego pogromcy „nierządu" w Polsce. I my zacytujemy: „Nie taką monarchją chwalimy, jaka jest u Turków, Tatar i Moskwy, która ma bezprawne panowanie, ale taką, która prawy sprawiedliwemi i radą mądrą podparta jest i moc swoją ustawami pobożnemi umiarkowaną i okreszoną ma". (129).

*

Muzeum Techniki i Przemysłu zorganizowało cykl odczytów na temat „Człowiek i jego praca w technice". Odczyty są wygłaszane co niedziela o godzinie 19-tej na wystawie przemysłu metalowego i elektrycznego w Warszawie. 13 b. m. inż. K. Jackowski miał prelekcję o muzeach. 20 b. m. dr. L. Niemojewski o pięknie w technice. Dalsze prelekcje wygłoszą prof. B. Nawrocki, R. Świętochowski, inż. P. Drzewiecki. Na tejże wystawie wygłaszany jest cykl odczytów bardziej specjalnych, zorganizowanych przez Stowarzyszenie Inżynierów Mechaników Polskich.

*

Miasto Gdynia nabyło 76% kapitału akcyjnego przedsiębiorstwa „Stocznia Gdyńska". Zarząd ma być prywatny pod kontrolą miasta.

*

Prof. Lescure w Revue de Paris — według Kurjera Polskiego — uzależnia postęp gospodarczy od narostu kapitalizacji. Jednocześnie stwierdza, że ludność we Francji przybywa 10 razy powolniej, niż w Polsce, a kapitalizacja rośnie 10 razy szybciej.

*

Bez końca trwa krytyka polskiej polityki motoryzacyjnej. Już chyba niema Polaka, któryby nie oburzał się i nie przerażał pocichu obecnym stanem rzeczy. Drobne ulgi podatkowe dla kupujących nowe samochody dadzą równie drobne rezultaty. Cała Polska powinna się wstrząsnąć; powinny odbywać się wiece, demonstracje, wszystkie organizacje powinny głośno protestować. Dotychczas mamy tylko czkawkę ze strachu.

*

W Brukseli odbył się Kongres Pokoju, na który zjechali przedstawiciele z całego świata. Do prezydjum kongresu nadesłał Romain Rolland płomienny list z wezwaniem, aby wielkie demokracje państwowe zorganizowały się w obronie pokoju. Znakomity pisarz kończy swój list słowami: „Sprawiedliwość społeczna jest naszą wspólną wiarą, a wolność jedyną matką postępu!"

Oczywiście, rezonans tego Kongresu na świecie jest nikły w porównaniu z sensacjami rozstrzeliwania w Rosji, mordów w Hiszpanji, iperytu w Abisynji, obozów koncentracyjnych w Niemczech. Warkot fabryk broni jest obecnie wymowniejszy od słów Romain Rollanda.

*

Na informacyjnej konferencji gospodarczej w połowie b. m. wicepremjer Kwiatkowski mówił: „...stoimy przed możliwością dokonania wyraźnego i mocnego skoku wzwyż... Żaden jednak rząd nie dokona cudu w środowisku biernem lub słabem. Praca, energja, talent, uczciwość są podstawą rozwoju państw i społeczeństw".

Święte słowa! Oby je jak najprędzej zrozumiano.

*

Major Ryszanek, b. zastępca płk. Kostka-Biernackiego w Brześciu, wyjeżdża jako konsul do Hamburga. Kpt. Lipko, b. dyrektor personalny Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, mianowany został kierownikiem jednego z urzędów skarbowych.

*

Nie przebrzmiały jeszcze echa samobójstwa pary nauczycielskiej w Krakowie, rozdzielonej bezdusznym rozkazem kuratora. a już zaszedł nowy wypadek, świadczący, jak dalece wyczerpuje nerwy stosunek dygnitarzy do podwładnych petentów. Oto w poczekalni Ministerstwa Skarbu postrzelił się zredukowany urzędnik monopolu tytoniowego, po kilkodniowem wielogodzinnem wyczekiwaniu na audjencję u dyrektora personalnego ministerstwa, osławionego p. Drojanowskiego.

Przydałoby się mniej dygnitarstwa, a więcej serca.

*

Uchwały zjazdu Małej Ententy w Bratysławie brzmią w zakresie współdziałania wojskowego wprost sensacyjnie. Stworzyły one realne podstawy dla zapowiedzianej wkrótce konferencji szefów sztabów generalnych wszystkich trzech państw. Zdecydowano ujednostajnić sprzęt wojenny: Rumunja nabywać będzie w Jugosławji miedź, Jugosławja rumuńską benzynę, a Czechosłowacja dostarczy chemikaljów oraz sprzętu wojennego z fabryk Skody.

Kto sieje wiatr w Berlinie może zebrać burzę — nad Dunajem.

Od Administracji

Tygodnik „Odnowa" spotyka się od samego początku z trudnościami, których nie przewiduje się w krajach cywilizowanych. Nie wyliczając wszystkich, wspomnimy tylko o odmowie przedsiębiorstwa „Ruch" kolportowania naszego tygodnika. „Ruch" obsługuje kioski kolejowe i można tam dostać książki i pisma na granicy pornografji, ale „Odnowy" nie będzie można dostać.

Nie nas pierwszych spotykają różnorodne szykany i nie my ostatni potrafimy je przetrzymać. Na razie zawiadamiamy Czytelników, że „Odnowa" zostanie rozesłana do księgarni w kraju, a ponadto dołożymy wszelkich starań, aby kolportaż zorganizować.

Wobec powyższego prosimy Czytelników o wyrozumiałość za opóźnienia w dostarczaniu tygodnika.

J. LESZCZYC

Teatr na rozdrożu

Głęboka zależność efektu teatralnego od widza sprawia, że to, co popularnie nazywamy kryzysem w dziedzinie sztuki, musiało wstrząsnąć teatrem silniej, niż jakąkolwiek inną dziedziną twórczości artystycznej.

W czemże się ów kryzys wogóle objawia? Praktycznie biorąc, w załamaniu się jednolitego poziomu wymagań publiczności. Poziom ów w t. zw. normalnych warunkach (choć są dziś niemal legendą, jednak kiedyś przecież istniały) podnosił się jednolicie, choć niejednolicie poszczególne części publiczności na to wpływały; podnosił się, jak poziom wody w jakimś basenie podnosi się jednolicie bez względu na to, czy woda dopływa z rur, rozmieszczonych równomiernie, czy też z jednego tylko kranu. Dziś między poszczególnemi częściami publiczności potworzyły się tamy, różnicujące poziom tak, że czynią z niego jakąś skomplikowaną konstrukcję płaszczyzn; niema tej płaszczyzny jednolitej, która, jak tafla jeziora, dawała ostre odbicie każdemu, kto umiał w nią głęboko spojrzeć.

Nie ulega wątpliwości, że ta sytuacja niezwykle utrudnia pracę teatru. Specjalnie teatru. Bo system jego oddziaływania na publiczność oparty jest właśnie na jednolitości jej poziomu wymagań. Praca teatru to działanie na zbiorowość, która na widowni stanowi pewną jednolitą całość. Dziś całość ta ogranicza się nieraz dość jaskrawo do poszczególnego przedstawienia; powiązanie jednego wieczoru z drugim stało się znacznie luźniejsze, niż dawniej. Dramat z trudem tylko urabia sobie swoją publiczność, taką, którą możnaby rzeczywiście na dystansie całego okresu grania danej sztuki uważać za pewną całość. Teatr ma zatem do czynienia z czemś wewnętrznie rozbitem. Z czemś, co jest nietylko w swym składzie osobistym, ale i w poziomie reagowania przypadkowe.

Z drugiej zaś strony ta nieskoordynowana wewnętrznie jednolitością upodobania artystycznego masa ma pewną spójnię, która jednak sytuację teatru jeszcze głębiej utrudnia. Spójnia ta, łącząc publiczność w pewną całość, jest wręcz—izolatorem, oddzielającym ową całość publiczności od teatru. Nie trzeba dowodzić, że założeniem wzruszenia widza teatralnego jest jego potrzeba dramatyzmu; dramatyzmu, jako efektu akcji, modelowanej na naturze: przeżyciu na realnego człowieka, ale sztucznie syntetyzowanej w jakąś idealnie logiczną w swym wyrazie całość. Gdyby nie potrzeba dramatycznej syntezy życia na scenie, niktby przecież do teatru nie chodził. Teatr jest poprostu tą mądrą małpą, która imituje nie człowieka w jego poszczególnym geście, ale zespół ludzi w ich wzajemnym stosunku; małpą przez to osobliwą, że od człowieka mądrzejszą. I, jak wszystko, od człowieka na tym świecie mędrsze, przez samego człowieka sztucznie skonstruowaną.

Lecz oto przyszedł czas, gdy człowiek wyzwolił z siebie dziką bestję, która wzrosła się w potwornego smoka o stu zbrodniczych pyskach; przyszła wojna i obłęd, trwający po niej długie lata. Smok przygniata człowieka dziś jeszcze. Czemże jest wobec smoka małpa?

Niepojęte nieraz dla człowieka naładowanie dramatyzmem rzeczywistości musiało przytłumić potrzebę dramatycznej złudy. By potrzebę taką wydobyć z głębi świadomości, należy sięgać do niej efektem o niezwykłej sile. Sile, któraby umiała sztucznie dać syntezę losu ludzkiego potężniejszą, niż ta, jaką człowiek stworzył sobie naturalnie. Do wyżyny tej siły rzadko tylko potrafi się wznieść literatura dramatyczna. W literaturze polskiej lat ostatnich tę siłę osiągnął bodajże tylko Rostworowski.

Literatura, odtwarzająca w tej czy innej płaszczyźnie nędzę człowieka powojennego z reguły ulegała rzeczywistości. Skupiała jej elementy w starcie się sytuacyj, nie wynosząc jej na wyżynę, na której ujrzeć można samych ludzi, wyznaczających dopiero sytuacje charakterem. Tworzyła melodramat, ten na drodze do tragedji odpowiednik farsy na drodze do komedji. Jedyność «Niespodzianki» to właśnie ciągłe imponujące przełamywanie melodramatu. I w tem wielkość Rostworowskiego. Nie uległ rzeczywistości; zwyciężył ją; dlatego ujarzmiał widza.

Ale to samo, co stępiało dzisiejszego widza na dramatyczność efektu, jednocześnie głęboko subtelizowało w nim pragnienie prawdy. Znieczulony na rzeczywistość w jej widzialnym kształcie (teraźniejszym), tem głębiej łaknie rzeczywistosci w jej niewidzialnej (jeszcze) prawdzie; w jej kształcie utajonym (przyszłym). Wobec tego zadania literatura dramatyczna okazała bodajże jeszcze mniej siły. W Polsce można dotychczas stwierdzić jeden jej sukces, tym razem na drodze komedjowej — «Rodzinę». Powszechną naszą świadomością rzeczywistości politycznej staje się dziś już to, co Słonimski ukazał w fenomenalnie intuicyjnej konstrukcji w chwili, gdy się dopiero zaczynało tworzyć. Wówczas było świetnym kawałem. Dziś jest prawdą. Oto najwyższy sprawdzian wartości komedji.

Gdyby istniał u nas repertuar żelazny, do którego mianoby odważną umiejętność włączać utwory współczesne, winnaby doń należeć trylogja Rostworowskiego i «Rodzina«. Ale u nas w T. K. K. T. był tylko (może jest jeszcze?) «teatr repertuarowy», co wygląda tak, jak «kolej żelazna rozkładowa». Zdawałoby się, że każdy teatr ma repertuar, jak każda kolej ma rozklad jazdy; z nazwy «teatru repertuarowego» wnosićby należało, że normalnie pięć teatrów dramatycznych stolicy żyło bez repertuaru. Nie chcemy z tem bynajmniej polemizować.

Sytuacja kryzysowa, w jakiej znalazł się teatr moralnie, znalazła swe szczególne zaostrzenie w tem, co zwiemy kryzysem gospodarczym. Kryzys ów nie wywołał wszakże przesilenia teatralnego, jak wielu twierdzi; kryzys gospodarczy nie może wywołać skutku natury moralnej, gdyż przeczyłoby to najprostszej prawdzie naszej kultury: wyższości życia moralnego nad materjalnem. Nie dlatego ludzie mniej chodzili do teatru, że mieli mniej pieniędzy, ale dlatego, że ich teatr mniej pociągał. To samo dawało się zaobserwować zawsze, niezależnie od kryzysu, w każdej dziedzinie wytwórczości, niekoniecznie wytwórczości natury idealnej. To samo było z obrazami czy z butami, z powieściami czy z czekoladkami.

Ale teatr odczuwa inny bolesny refleks kryzysu, wynikający specjalnie z typu gospodarki teatralnej. Teatr bowiem jest ze swej konstrukcji, jako aparatu przedsiębiorczego sztuką — najbardziej kapitalistyczną. Może literat wydać czasem powieść na długo potem spłacany kredyt drukarni, może malarz zasmarować wielkie płótno bez grosza przy duszy, ale nie może istnieć teatr bez oparcia kapitałowego. Bo teatr działa nieprzerwanie, a działa to znaczy ekonomicznie obraca pieniądzem. Jest jedyną sztuką, która musi być (każda inna może być) przedsiębiorstwem. I kryzys moralny teatru przypadł akurat na okres ogólnego załamania się systemu kapitalistycznego w organizacji gospodarczej!

To wszystko sprawiło, że sytuacja teatru stała się ostatnio niezwykle ciężka. Wytrącony z dotychczasowej swej drogi, nieświadom nawet, dokąd mu iść należy—znalazł się na wielkiem historycznem rozdrożu.

Jaka jest w tej trudnej sytuacji postawa teatru polskiego?

MUZYKA

J. BONIECKA

Filharmonja i reszta

Perspektywy muzyczne stolicy Polski na nadchodzący sezon przedstawiają się dość smętnie. W porównaniu z bujnem, pełnem rozmachu życiem muzycznem zagranicy, stanowiącem zresztą na zachodzie Europy integralną i nieodzowną cząstkę ogólnego życia kulturalnego społeczeństw, nasze skromniutkie, ubogie — tak pod względem materjalnym, jak i duchowym — plany muzyczne, wyglądają szczególnie mizernie. Nie chcemy przesądzać, jakim torem potoczą się sprawy opery warszawskiej; ale wątłość subwencji materjalnej, kompletna ruina, do jakiej doprowadziły tę instytucję rządy poprzedniej dyrekcji, nie dają pola do optymistycznych horoskopów. Dziś bowiem trzeba w tej dziedzinie stwarzać na nowo wszystko: orkiestra, chóry, soliści zdemoralizowani operetkowemi nastrojami nie tylko nie kultywowali od szeregu lat trudnych tradycyj operowych, ale raczej je zatracali, publiczność stolicy w rozgwarze szlagierów zapomniała o tem, że jeszcze przed kilku laty zapełniała dosłownie po brzegi salę teatru Wielkiego na przedstawieniach Tristana, czy Parsifala. Zbudować w tej dziedzinie wszystko od fundamentów: wychować nowych wykonawców i nową publiczność — jest rzeczą niesłychanie trudną. Jeśli nowa dyrekcja opery dokona tego na przestrzeni rozpoczynającego się sezonu — dokona zaiste cudu. Ale w niniejszym preliminarzu muzycznym nie możemy stawiać w rubryce dochodów pozycyj, opartych na cudach; chcemy mówić o konkretnych, możliwych do przewidzenia danych.

Polskie Radjo zapowiedziało na letnie miesiące r. b. kilka pięknych transmisyj z Bayreuth i Salzburga. W lipcu usłyszeliśmy transmisję z Lohengrina z teatru wagnerowskiego w Bayreuth; audycja ta przyniosła niewątpliwie zaszczyt Polskiemu Radju. Abonenci zareagowali na to natychmiast od-

powiednio do... swego poziomu. Zarzucono Polskie Radjo mnóstwem «wymyślających» listów. Skutek był taki, że wycofano się czemprędzej z pertraktacyj o dalsze transmisje; ze słynnych «Śpiewaków Norymberskich» z Salzburga nadano tylko jeden akt. Nie chcielibyśmy swoją drogą być w skórze tych panów, którzy na propozycje wiedeńskiego radja musieli odpowiedzieć, czy odpisać: «Nie. Dziękujemy bardzo. «Śpiewacy» dyrygowani przez Toscaniniego to nie jest audycja, która mogłaby zainteresować naszych słuchaczy». Znamienny ten incydent pozwala wnioskować o gatunku muzycznych audycyj radjowych zbliżającego się sezonu.

W tych warunkach i na tem tle rozpatrywana działalność Filharmonji Warszawskiej nabierała szczególnego znaczenia. Nie będzie chyba przesadą, jeśli powiemy, że ona to właśnie ratuje honor muzyczny stolicy Polski. Na całej przestrzeni swego istnienia nigdy nie zboczyła z tej szlachetnej drogi, na której pierwszym krokiem był jej koncert inauguracyjny: przed trzydziestu pięciu laty otworzył pierwszy sezon Filharmonji Warszawskiej największy pianista świata, największy z żyjących muzyków Polski, Ignacy Paderewski. Stać się godną tak wspaniałej tradycji, podtrzymać ją i utwierdzić przez wszystkie trudne lata nietylko ogólnej biedy, ale i ogólnego upadku muzyki w Polsce, stać się szlachetnym wyjątkiem w ponurej regule degrengolady muzycznej—było dziełem niezwykłem, którego Filharmonja potrafiła jednak dokonać. Zbyt dobrze pamiętamy jeszcze wszyscy ostatni sezon Filharmonji, aby uzasadniać powyższe słowa. Skumulowanie na przestrzeni kilku miesięcy sezonu koncertowego takich nazwisk, jak: Hofmann, Bruno Walter, Furtwängler, Gieseking, Rachmaninow, Schnabel, Horowitz—godne jest największych stolic Europy, zaś w operetkowo-tragicznych warunkach, w jakich tkwiła w ubiegłym sezonie muzyka w Warszawie, rozrasta się do rozmiarów rewelacji.

Na jednej z konferencyj prasowych filharmonicy warszawscy przedstawili dokładnie warunki materjalne, w jakich pracują. Wymienili przeciętną cyfrę, jaką osiągały w r. 35/36 zarobki poszczególnych członków orkiestry; cyfry tej nie ujawnimy, gdyż wysokość, a raczej niskość jej jest zbyt upokarzająca dla społeczeństwa, które do tak tragicznego stanu rzeczy dopuszcza, choć niewątpliwie przynosi zaszczyt filharmonikom, ludziom, którzy w niedostatku i trudzie pracują dla sztuki. Mówiono też o wątłych subwencjach zewnętrznych, których cyfra nie przynosi już zaszczytu nikomu. Ale gromadka zapaleńców z gmachu przy ulicy Jasnej zacisnąwszy zęby, nie bacząc na piętrzące się trudności materjalne, postanowiła dowieść urbi et orbi—Warszawie i światu—do jakiej pracy i do jakich wysiłków artystycznych jest zdolna, udowodnić najoczywiściej, że istnieć musi. Dała przy najgorszych warunkach materjalnych jeden z najlepszych — jeśli nie najlepszy — sezon koncertowy. Pozwoliła jasno przewidzieć te możliwości, na jakie niewątpliwie zdobyłaby się, gdyby zapewniono jej normalne warunki egzystencji. Dokonawszy tego pięknego dzieła, pojechała wygrywać popularne «kawałki» na deptaku ciechocińskim, bo nie miała pieniędzy na zasłużony wypoczynek.

Ale jednocześnie filharmonicy warszawscy mieli prawo przypuszczać, że ich ogromny wysiłek, uwieńczony tak pięknym rezultatem, ktoś wreszcie, prócz wiernej publiczności, dostrzeże i oceni. Zawiedli się. Cyfra subwencji zewnętrznej pozostała tak samo humorystycznie (czy może raczej tragicznie) mała, proporcjonalna zresztą do drobnej sumy, którą rząd co roku przeznacza dla spraw tak «luksusowych i zbędnych», jak muzyka w Polsce.

Czytaliśmy przed kilku dniami z podziwem długą listę dygnitarzy: ministrów i generałów, którzy «zaszczycili swą obecnością» mecz piłki nożnej Polska—Niemcy. Szło tam o rzecz ciekawą: o współzawodnictwo w sporcie; była to walka przedstawicielstw dwu narodów. Piękniejsza o wiele, choć krańcowo inna rzecz działa się przed kilku miesiącami w Filharmonji: w szlachetnym, wspólnym wysiłku — nie współzawodnictwie — polscy muzycy zjednoczyli się z jednym z największych zagranicznych dyrygentów, aby wspólnie służyć sztuce. Stworzyli dzieło wielkie, stanęli na poziomie, przynoszącym ich ojczyźnie więcej zaszczytu, niż remisowe rozegranie meczu sportowego. Mówię tu o koncercie Bruno Waltera. Sala Filharmonji była tego dnia przepełniona, ale — jak zwykle — próżno byłoby w niej szukać «zaszczycających swą obecnością» dygnitarzy; byliśmy tylko my, szara publiczność, czująca się w obliczu wielkiej sztuki, tak, jak w obliczu bóstwa — prochem i niczem. Dygnitarze, wsłuchani w przyjemny gwar dancingu lub w najlepszym razie w krótki, kilkutaktowy zew sygnału olimpijskiego, mówią o Brahmsie lub Mozarcie tak, jak panowie z Polskiego Radja: «Dziękujemy. Nas to nie interesuje».

Myślę, że filharmonicy warszawscy winni pogodzić się ze swym złym, choć może nie najgorszym losem: nie zdobędą nigdy pieniędzy i zaszczytów. Muszą się zadowolić czem innem: najgorętszą sympatją i szacunkiem publiczności, głęboką jej wdzięcznością za twórczą, cenną i bezinteresowną pracę. A pomyślawszy chwilkę, sami dostrzegą, że po stokroć trudniejsze jest do zdobycia to właśnie, co im się udało osiągnąć, a co rzadko dziś chodzi w parze z pięknie brzmiącymi tytułami. i że są jako ta biblijna Marja, która lepszą cząstkę obrała.

ECHA

Filharmonja Warszawska rozpoczyna sezon koncertowy w d. 2 października. Koncert inauguracyjny poświęcony będzie muzyce polskiej; program jego wypełnią następujące utwory: IV symfonja Szymanowskiego, Fantazja polska Paderewskiego, Oświecimowie Karłowicza, „Stańczyk" Różyckiego, oraz „Życie Narodu" Noskowskiego. Solistą koncertu będzie prof. Turczyński (partja fortepianowa w symfonji Szymanowskiego i „Fantazja" Paderewskiego), dyrygować będzie Zygmunt Latoszewski.

Filharmonja Warszawska ma już ustalony ściśle program na przeciąg trzech pierwszych miesięcy. Tak więc wystąpią na koncertach symfonicznych kolejno następujący soliści: Egon Petri (9.X), Józef Szigeti (16.X), Efrem Zimbalist (23. X), Demetrios Callimahos (30.X), Pierre Fournier (6.XI), Magda Tagliafero (13.XI), Aleksander Kipnis (10.XI), Jacques Thibaud (27.XI), Artur Rubinstein (4.XII), Wanda Landowska (11,XII), oraz Adolf Busch. Dyrygować będą między innymi: Issay Dobrowen, Lowro Matacic. Georges Georgesco, Hamilton Hardy, Willy Ferrero.

Na drugie półrocze sezonu Filharmonja zapowiada występy Kreislera, Casadeus, Schnabla: Francescati'ego i in.

W związku z zawartą świeżo umową między Polskiem Radjo a Filharmonją Warszawską, część piątkowych koncertów symfonicznych (dwa lub trzy piątki w miesiącu) będzie transmitowana przez radjo. Poranki niedzielne odbywać się będą bez transmisyj radjowych.

*

Opera Warszawska otwiera sezon w dniu 15 października operą „Straszny Dwór" Moniuszki w nowej oprawie inscenizacyjnej.

*

W nadchodzącym sezonie muzycznym czynnych będzie w Czechosłowacji jedenaście teatrów operowych; zaś na terenie Rzeszy Niemieckiej—osiemdziesiąt cztery.

*

Sezon koncertowy ajencji p. H. Markiewicza rozpoczyna się dnia 30 września recitalem fortepianowym Henryka Sztompki.

*

Muzyczne Ognisko Wakacyjne dla nauczycieli śpiewu i muzyki w szkołach ogólnokształcących przy Liceum Krzemienieckiem czynne było podczas minionego lata już dziewiąty rok z rzędu. Wykłady odbywały się jak zwykle w ciągu lipca. W roku bieżącym zaznaczyła się wyjątkowo liczna frekwencja słuchaczy, wyrażająca się cyfrą około 300 osób. Dyrekcja Ogniska organizowała przez cały czas trwania kursu dwie audycje muzyczne tygodniowo, których wykonawcami byli bądź profesorowie kursu, bądź zaproszeni artyści. (p.p. Farjaszewska, St. Jarzębski, Małcużyński). Ponadto w audycjach brał udział chór słuchaczów Ogniska.

*

Uruchomiony w sierpniu r. b. przez Ministerstwo Oświaty Wakacyjny Instytut Sztuki w Gdyni posiadał również i sekcję muzyczną. Wykłady prowadzili p.p. Mayzner („Pieśń ludowa"), Sidorowicz („Pieśń żołnierska w świetle epoki") i Śledziński („Historja fortepianu" oraz „Problemat opery").

„Harnasie" Szymanowskiego wystawiane były dotychczas, jak wiadomo, w Pradze i w Paryżu. W sezonie 1936/37 mają zamiar włączyć do swego repertuaru balet Szymanowskiego sceny operowe Hamburga i Zurychu.

*

Niemieeka Izba Muzyczna zabroniła wszystkim artystom niemieckim począwszy od dnia 6-go czerwca b. r. używania cudzoziemskich nazwisk jako pseudonimów. Ponadto wszyscy muzycy, którzy do tej pory używali pseudonimów, muszą zwrócić się do Izby z prośbą o pozwoleuie na dalsze posługiwanie się niemi:, każdy nowy pseudonim musi być przez Izbę zatwierdzony.

*

Doroczne uroczystości wagnerowskie w Bayreuth trwały w r. b. od d. 19-go lipca do końca sierpnia. Wystawiono następujące opery: Lohengrin (opera ta nie była wystawiana w Bayreuth od roku 1911), cztery opery wchodzące w skład „Pierścienia Nibelunga", oraz „Parsifala". W tym samym czasie opera w Monachjnm wystawiła: Rienzi'ego, Holendra-Tułacza, Tannhäusera, Tristana i Izoldę, oraz Śpiewaków, dając w ten sposób łącznie z Bayreuth pełny cykl oper Wagnera (prócz rzadko wykonywanych oper młodzieńczych).

*

W dniach od 18-go do 22-go lipca r. b. odbyły się w Górnej Austrji, ojczyźnie Antoniego Brucknera, wzorem ubiegłego roku, uroczystości muzyczne ku czci tego kompozytora. W związku z ogromną frekwencją, jaką cieszyły się te obchody brucknerowskie, powstał projekt organizowania ich również i w latach następnych, oraz wybudowania w Linzu „Bruckner-Festhalle". W roku bieżącym, prócz kompozycji Brucknera wykonywano w ramach omawianych uroczystości również i dzieła Mozarta i Schuberta.

*

Bezpośrednio niemal po zakończeniu koncertów brucknerowskich, bo d. 25-go lipca, rozpoczęło się inne doroczne święto muzyczne Austrji: festivale w Salzburgu. Festivale trwały do d. 31-go sierpnia; w ramach ich wykonano m. in. poraz pierwszy w Salzburgu w roku bieżącym „Falstaffa" Verdi'ego oraz „Śpiewaków Norymberskich" Wagnera. Obydwiema temi operami dyrygował Arturo Toscanini.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W Ministerstwie Oświaty zapadła decyzja zaniechania systemu koedukacji w wyższych klasach szkolnictwa średniego. Licea będą obowiązkowo „jednopłciowe".

Zarządzenie to jest jednym z kroków nawrotu z drogi, na którą wprowadziły szkolnictwo nasze sławetne reformy panów Jędrzejewiczów i S-ki, przeto bez wątpienia przez większość społeczeństwa przyjętej

będzie z uznaniem. Nie przez ogół, niestety, gdyż zarówno Związek nauczycielstwa jak i pewne typy liberałów uznają decyzję Ministerstwa za pewnego rodzaju klęskę, koedukacja bowiem w pojęciu tych kół jest jedną z podstaw „nowego“ szkolnictwa.

Koedukacja wychodzi z założenia, że umysłowość obu płci jest jednakowa, że wzajemne oddziaływanie na siebie chłopców i dziewcząt wpływa dodatnio na charaktery, rozbudzając w dziewczętach męską energję, na chłopców zaś działając łagodząco, wysubtelniając ich myśli i uczucia. Tak głosi teorja, rzeczywistość zaś przedstawia się inaczej.

Umysłowość obu płci różni się zasadniczo. Nie można mówić o niższości lub wyższości intelektu męskiego czy żeńskiego — są one po prostu inne. Dziewczęta inaczej przyjmują wiedzę, inaczej myślą i inaczej reagują. Tak, np., przy rozważaniu utworu literackiego młodzież męska zwraca uwagę na myśl autora i typy postaci, gdy dziewczętom narzuca się strona uczuciowa i zewnętrzna forma dzieła. Przy nauce historji chłopcy dość łatwo pojmują pragmatyzm faktów, lekceważąc szczególiki imion, miejscowości, a nawet dat, gdy dziewczęta do tych właśnie szczegółów przywiązują wielką wagę, za ich pomocą orjentując się w masie zdarzeń. W fizyce dziewczęta interesują się formą i przebiegiem pokazowego doświadczenia, chłopcy — ostatecznym wynikiem i praktycznem zastosowaniem poznanego prawa.

Każdy z doświadczonych nauczycieli zna całe szeregi przykładów, potwierdzających fakt, że sposób przyswajania sobie wiedzy przez różne płcie jest rzeczywiście różny. A teraz proszę się postawić w położeniu nauczyciela mieszanej klasy. Musi on nauczyć ogół młodzieży; jaką ma wybrać drogę? W praktyce stosuje się do przewagi tej lub innej płci w klasie, utrudniając pracę pozostałym.

Teoretyczne założenie różności i jednakowości intelektów w praktyce okazuje się nic warte, a jak przedstawia się sprawa oddziaływania na rozwój charakterów?

Piszący te słowa w ciągu kilkunastu lat pracy nauczycielskiej w szkołach średnich zdołał stwierdzić, że dziewczęta pod wpływem koedukacji dość łatwo brutalizują się, natomiast chłopcy nie przejmują dodatnich cech charakteru kobiecego; tylko jednostki przejmują pewne cechy zniewieściałości, czego jednak nie można uważać za objaw dodatni.

Dlaczego jednak część nauczycielstwa popiera koedukację, dlaczego reformy braci Jędrzejewiczów narzuciły przymus koedukacji w szkole powszechnej i, co gorzej, popierały koedukację w szkolnictwie średniem? Czyż ludzie ci nie zdają sobie sprawy ze stanu rzeczy?

Co do panów Jędrzejewiczów, to, zdaje się, po prostu nie orjentowali się, o co chodzi, inaczej natomiast przedstawia się sprawa, gdy idzie o różnych teoretyków i praktyków wprowadzania koedukacji. Tam można przypuszczać świadomość, że obniżenie poziomu intelektualnego, utrudnienie wyrobienia charakterów, rozerotyzowanie młodzieży torują drogę do daleko sięgających eksperymentów ustrojowych: młodzież mało umiejąca, nerwowa, bez woli nie stawi oporu przeróżnym zakusom reformatorskim, owszem, dzięki swej pobudliwości da się łatwo wziąć na lep frazesów.

Episkopat polski przejrzał grę i wyraźnie potępił koedukację. domagając się skasowania jej. Świadome rzeczy społeczeństwo, bez względu na poglądy religijne, winno poprzeć to żądanie, tem bardziej, że nie jest ono trudne do zrealizowania. W szkołach powszechnych niższego typu lub tam, gdzie istnieje jedna tylko szkoła—koedukacja stanowi malum necessarium, aczkolwiek i tam przy istnieniu równoległych oddziałów można ją ograniczyć, wszędzie indziej natomiast łatwo jest wprowadzić podział na szkoły męskie i żeńskie, jak to było przed reformą jędrzejewską. Toż samo można powiedzieć o szkołach średnich.

Łączę wyrazy i t. d.

R. M:

Przegląd Prasy Krajowej

Mowa norymberska Hitlera odbiła się szerokiem echem w prasie całego świata i spotkała się wszędzie z niechęcią, z niedowierzaniem, a conajmniej ze zdziwieniem. O wrażeniu w prasie zagranicznej pisaliśmy w poprzednim numerze; głosy prasy krajowej, wyjątkowo tym razem zgodne, dadzą się streścić w syntezie p. B. K. z Kurjera Warszawskiego:

„Rosja przed paru laty zażądała przyjęcia jej do Ligi Narodów i siedzi tam spokojnie, akceptując wszelkie inicjatywy pro-pokojowe.

Prawie jednocześnie Niemcy wystąpiły z hałasem z Ligi Narodów, podjęły niezwłoczną akcję zbrojeniową, wyparły się prawie wszystkich zobowiązań międzynarodowych, odrzucały wszelkie propozycje i rozpoczęły, dosłownie jak przed r. 1914 Kaiser, skargi na Einkreisung, na okrężenie czy odosobnienie, w ten sposób usprawiedliwiając swe piorunujące i febryczne zbrojenia“.

Stała się zatem norymberska mowa pewnego rodzaju objawieniem, zapewne wbrew intencjom autora, i otworzyła oczy niejednemu z tych, co jeszcze się łudzili. Może efektem tej właśnie niespodziewanej szczerości jest poruszenie w Genewie przez naszego ministra spraw zagranicznych kwestji mandatów kolonjalnych. Stało się to jeszcze w formie bardzo delikatnej, tem niemniej prasa polska zgodnym chórem podtrzymywała swego przedstawiciela. Nareszcie minister spraw zagr. poddał się sugestjom, wysuwanym zdawna w całym kraju.

Dyskretnie i dyplomatycznie rozpoczyna Gazeta Polska:

„Polsce nietylko zależy na pewnem prawie głosu w sprawie osadnictwa obywateli polskich w Palestynie, które leży rządowi naszemu na sercu. We wszystkich wypadkach, gdy dyskutuje się na terenie międzynarodowym, ogromne zagadnienie ekspansji nadmiaru przyrastającej siły roboczej, Polska ma wiele do powiedzenia. Jest to jej prawo, wynikające z prostego zestawienia cyfr statystycznych“.

Wieczór Warszawski, omawiając tę sprawę, główny nacisk kładzie na emigrację żydowską:

„Potrzeba jest u nas tem żywsza, że musimy znaleźć teren emigracyjny dla trzech miljonów ludności żydowskiej, zarówno politycznie jak i gospodarczo niedostosowanej do rodzimych warunków“.

Z rezerwą zachowuje się w pierwszej chwili ABC:

„Problem ten poruszony przez Polskę po raz pierwszy w Genewie niewątpliwie wypłynie jeszcze na powierzchnię w ciągu obecnej sesji Zgromadzenia Ligi Narodów“.

Przypadkowo, a jakże „w kropce“, notuje Kurjer Polski pogłoskę prasy niemieckiej:

„Podczas niedawnych rozmów polsko-francuskich porozumiano się co do kierowania wychodźców z Polski do francuskich kolonij w Afryce, gdzie mieliby oni otrzymać specjalnie uprzywilejowane warunki... Ma to dotyczyć... tylko Togo i Kamerunu... pozostających... pod mandatem Francji“.

Żadne przecież pismo nie podnosi tej okoliczności, że według obliczeń nieistniejącego już Towarzystwa Kolonjalnego udział świadczeń polskich (z tytułu podatków, rekruta etc) w rozbudowie kolonij niemieckich wynosił około 6%. Z tego punktu widzenia sprawa kolonij dla Polski wchodziłaby w zakres rewindykacji poniesionych kosztów.

Zanim sprawa kolonji przybierze jakieś kształty realne, zanim wogóle ten problemat będzie mógł zaważyć na zagadnieniu populacyjnem, wiele wody upłynie. Tymczasem zaś ludzie rodzą się i rosną, bezrobocie się powiększa, zwłaszcza to nieoficjalne, nieksięgowane w statystykach, przedewszystkiem bezrobocie wśród młodzieży. Tą właśnie sprawą młodzieży przedpoborowej zajęły się nasze władze, uchwalając dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej powołanie do życia „Hufców pracy“.

Miejmy nadzieję, że ta bądź co bądź oryginalna organizacja będzie trwalsza, aniżeli pewna organizacja polityczno-społeczna, o której narodzinach p. t. „Front demokratyczny“ zawiadamia Kurjer Poranny:

„W Kielcach toczą się prace nad zblokowaniem wszystkich organizacyj, stojących na platformie szczerej demokracji. Przystąpienie do bloku porozumiewawczego dotychczas zadeklarowały: Rada kl. Związków Zawodowych, związki zawodowe, wchodzące w skład Z. Z. Z., Zjedn. Zw. Prac. Ubezpieczeń Społecznych, Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego, T. U. R. i Legjon Młodych. Pozostałe organizacje zastrzegły czas na odpowiedź, celem porozumienia się z zarządami głównemi. „Wici“ i Związek Młodej Wsi dotychczas nie zajęły stanowiska“.

Notując tę pogłoskę mamy wszakże wątpliwości czy słowo tytułu „demokratyczny“ zostało tu właściwie użyte. Tyle bywa bowiem w ostatnich czasach nieścisłości i niewłaściwości... Niektóre sięgają aż pod same szczyty ustroju, zapowiadając sensacyjnie zmiany w rządzie, co wywołało nietylko niezwykle silne zaprzeczenia agencyj, ale i mnóstwo komentarzy w prasie. Skorzystał z tej sposobności Czas, by zwrócić uwagę na fakt, zdaniem pisma znamienny:

„W sferach politycznych dużo komentarzy wywołał fakt, iż na ostatniej konferencji na Zamku wziął udział min. Kwiatkowski. Dotychczas w konferencjach tych brał udział poza gen. inspektorem i premjerem tylko min. Beck“.

Rzeczywiście jest to znamienne, że losy kraju trzeba odgadywać z numerów na samochodach, należących do tego czy innego dygnitarza.

Robotnik, przytaczając z „Warszawskiego Dziennika Narodowego“, jakie czynniki trzeba uwzględnić przy ocenianiu sprawy hrubieszowskiej, dodaje od siebie:

„A ustrój? O ustroju politycznym „krytycy“ endecy milczą, bo nie chcą demokracji. A chłop właśnie pragnie tej demokracji, by mieć wpływ w państwie“.

Z „Robotnikiem“ polemizuje ostro Gazeta Polska:

„Sześciu poległych ludzi — to jest dla nas wypadek zasługujący na coś więcej, niż umieszczenie urzędowego komunikatu.

W wypadkach tak ostrych, że dochodzi do rozlewu krwi, staramy się dociec, czy postępowanie władz bezpieczeństwa było uzasadnione; bynajmniej nie stoimy z reguły na stanowisku, że władza jest w porządku“.

Zakończmy ten przegląd wyjątkiem ze wspomnienia, jakie jubileuszowy Kurjer Poznański poświęcił młodym kadetom, ginącym w Alcazarze:

„Niema wody, niema żywności, płoną kobiety i dzieci, w gruzy walą się wieże i blanki, nawet nadziei nie wiele. Ale jest wiara i idea...“

A u nas?

Dziennik ABC, jako nowy organ „bezkompromisowej myśli narodowej“, zachwyca się polityką min. Becka — „ruchliwą i wykazującą dosyć dużo inicjatywy“. A to wszystko z powodu poszukiwania kolonij dla Polski, ściślej mówiąc, dla polskich Żydów. ABC ma jeszcze niejakie wątpliwości:

„Czy o to właśnie chodzi min. Beckowi — można wprawdzie mocno powątpiewać, ale jakby nie było, akcja, którą w Genewie teraz podjął, zyska sobie napewno poparcie całej polskiej opinji, bo dotyczy naszych żywotnych spraw i interesów“.

Forma notatki zawiera rusycyzm — „jakby nie było“. Treść zawiera dużo germanizmu. A wszystko razem ma być „bezkompromisową“ polskością.

Wobec powyższego zupełnie logiczna jest niechęć ABC do Odnowy. Zapytują:

Jaka jest celowość wydawania pisma, które uparcie chce bronić nieimponującego już dzisiaj nikomu „dnia wczorajszego“. Walka — uprzedzamy — beznadziejna. Nikt nie tęskni do ducha liberalizmu, klasycznego parlamentaryzmu, bladego objektywizmu“.

Natomiast, zapewne, wszyscy tęsknią do wygody materjalizmu, do romantycznych dyktatur, do jaskrawego subjektywizmu.

Czy „nikt“ nie podziela poglądów Odnowy, mogłoby rosstrzygnąć głosowanie uczciwe. Niestety, tego rodzaju naiwności należą do „dnia wczorajszego“. ABC locuta, causa finita.

A. W.

Z Prasy Zagranicznej

Słowo wyleci wróblem, a powraca wołem — możnaby przytoczyć stare nasze przysłowie, czytając niesamowicie przetworzone pogłoski o zmianie rządu w Polsce. Oto przykład typowo „robionej" wiadomość, jaką podaje swym czytelnikom berliński „Völkischer Beobachter":

„Angielskie wiadomości z Warszawy donoszą zgodnie, że należy się liczyć z utworzeniem w Polsce w dniach najbliższych wyraźnej dyktatury wojskowej. Generał Rydz Śmigły zwoła parlament, aby uzyskać generalne pełnomocnictwo na utworzenie państwa totalnego. Konieczność tego postanowienia będzie w odpowiedniej proklamacji uzasadniona tem, że akcja komunistyczna zagraża wewnętrznemu bezpieczeństwu kraju, oraz, że położenie geograficzne między dwiema wrogiemi sobie wielkiemi potęgami również wymaga jak najdalszego zabezpieczenia. Jednym z pierwszych środków zapobiegawczych będzie utworzenie obozów pracy na wzór niemiecki. Premjerem będzie najbliższy przyjaciel gen. Rydza Śmigłego płk. Adam Koc z dyktatorskiemi uprawnieniami w kierunku usanowania fatalnych warunków finansowych i gospodarczych".

Dzwoniono, dzwoniono, ale nie wiadomo, w jakim kościele — znowu przysłowiem zakończmy tę przejrzystą opowieść.

* * *

Już nie kłopotliwe posiedzenie Ligi Narodów, zajęte weryfikacją mandatów delegacji abissyńskiej, ale przygotowauia do przyszłej konferencji państw lokarneńskich zajmują czołowe miejsce na łamach pism zagranicznych.

Z okazji rozmowy angielskiego Ministra Spraw Zagranicznzch z premjerem francuskim L. Blumem snuje „Echo de Paris" następujące prognostyki:

„Nota angielska w sprawie konferencji pięciu państw stwierdzi, że konferencja w jej pierwszem stadjum ograniczy się jedynie do pięciu państw, i dlatego nie należy się spodziewać zaproszenia jakiegokolwiek państwa Europy Środkowej lub Wschodniej. Jednak rozwikłanie systemu bezpieczeństwa na Zachodzie dopiero wtedy będzie możliwe, jeśli go uzupełni odpowiednie uporządkowanie spraw na Wschodzie. Takie uporządkowanie będzie jednak niewątpliwie obchodzić Polskę, Czechosłowację i Sowiety, co wywoła konieczność zaproszenia ich do dalszych obrad na równej stopie".

Tym samym poglądom daje wyraz Oeuvre, dodając, że

„Byłoby bardzo dziwnem, gdyby nota angielska nie wzięła pod uwagę paktu francusko-sowieckiego".

Dziwnym trafem zgadza się z temi informacjami wspomniany już „Völkischer Beobachter":

„Rzeczywiście według wiadomości z pewnego źródła Anglja przykłada dużą wagę do utrzymania porozumienia francusko-sowieckiegó"

i nie może się powstrzymać od lekkiej insynuacji:

„Ma się tu zatem do czynienia conajmniej z życzeniami fraucuskiemi".

Natomiast „Neues Wiener Journal" przytacza wręcz przeciwne zdanie angielskiego posła do Izby Gmin, Kenneth de Courcy:

„Ponieważ wspólne interesy wymagają energicznej walki z komunizmem, wydaje się pożądanem, aby reprezentanci różnych krajów stanęli wspólnym frontem przeciw temu głównemu wrogowi Europy. Dlatego rozluźnienie stosunku przyjaznego Francji do Rosji należy powitać z zadowoleniem, ponieważ sam wpływ Rosji na europejską politykę stanowi niebezpieczeństwo dla pokoju Europy".

Jak widać rozpętana w Norymberdze burza antysowiecka nie daje jeszcze ludziom spokoju. Mowa norymberska, wycelowana w Moskwę, miała jednak trafić w Paryż. Tam przecież odniosła inny skutek, niż był prawdopodobnie zamierzony: nie przeraziła, lecz ostrzegła. „Le Journal" pod tytułem: „Gwałtownym słowom przeciwstawił p. Blum zimną krew" mówi między innemi:

„Bardzo interesująca wskazówka wyłania się z ustępu, może najcharakterystyczniejszego z całej mowy (sc. Bluma), który przeciwstawia porządek anglosaski kapralizmowi hitlerowskiemu. Między dyktaturą bolszewicką i dyktaturą narodowo-socjalistyczną mamy przykłady oświeconego liberalizmu, a pomiędzy niemi podkreślić należy przykład anglo-saski".

Mowa Bluma nie przypadła do gustu w Berlinie. Dzienniki ją przeważnie pokryły milczeniem, dając o niej jedynie krótkie wzmianki na dalszych stronach pisma. Tylko Local Anzeiger daje do niej dość cierpki komentarz:

„Zbytecznem jest polemizować z takiemi teorjami. Rząd francuski będzie współwinny w tem jedynem zamieszauiu pokoju, jakiem jest obecnie: armja czerwona".

Nad rozpętaną ostatnio w Niemczech kampanją antysowiecką zastanawia się ciekawie Journal de Moscou:

„Od paru tygodni można w Berlinie stwierdzić uwagi godny fakt, że zagadnienia, które prasa wysuwa na pierwsze miejsce, zupełnie się nie pokrywają z zagadnieniami, które wysuwają na pierwszy plan berlińskie koła polityczne. Tak naprzykład jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że w chwili, kiedy niemiecka prasa podnosi alarm z powodu sowieckich zbrojeń morskich na Bałtyku, niemiecką flotę wojenną odwołano prawie całkowicie z tegoż Bałtyku i skierowano na wybrzeża hiszpańskie. Trzeba być w Berlinie, aby tę taktykę zrozumieć: rozpętanie kampanji prasowej w kierunku wschodnim jest dymną zasłoną, kryjącą niemieckie zamiary na Zachodzie".

Prager Presse nawiązuje do opinji angielskiej (którą podaliśmy w poprzednim numerze) i wyciąga następujący wniosek:

„Jest możliwe, że atak Hitlera na Sowiety i zapowiedź Niemiec, że nie wezmą udziału w konferencji, w której będzie zasiadać Rosja, spowoduje nie dojście do skutku projektowanej konferencji państw lokarneńskich. Ale czy w Berlinie zapomniano, że utrącenie tych rozmów będzie miało jedyny nieuchronny skutek: ścisłą współpracę na gruncie wojskowym między Paryżem a Londynem?"

A cóż na to Liga? Co na to Zgromadzenie Ligi, właśnie „czynne?" Nic. O Lidze, o jej assemblach nikt nie myśli, o ile idzie o zażegnanie grożących konfliktów międzyeuropejskich. Temps przepisuje jej spokojną, nieszkodliwą, dyskusyjną rolę:

„Będą usilne starania, aby ułatwić podjęcie na nowo rozmów międzynarodowych w zakresie gospodarczym. Aktywność Ligi Narodów na tem polu uległa pewnemu zahamowaniu od wyjazdu Niemiec z Genewy. Nie ulega również wątpliwości, że powróci się — w takiej czy innej formie — do zagadnienia rozbrojenia. Ale wszelkie rezolucje, jakieby uchwaliło Zgromadzenie, czy to na terenie gospodarczym, czy w zakresie rozbrojenia, będą miały praktyczną wartość dopiero po konferencji mocarstw lokarneńskich".

Oto na co zeszło iustytucji, pomyślanej przez idealistę, a wykonanej... ad usum delphini...

Tymczasem konflikty się mnożą, a zabezpieczenia przed nimi szuka się skwapliwie — poza Ligą. Niepokoi się tem Berliner Tageblatt, przewidując, że w najbliższym czasie Blizki Wschód będzie terenem szerokiej ofensywy politycznej i dyplomatycznej. Oznakami tej ofensywy mają być:

„Naprzód szereg wizyt, które złożył król Edward VIII prawie we wszystkich krajach na tym obszarze; mają one rzekomo — według prasy włoskiej — na celu zabezpieczenie dyplomatyczne angielskiego frontu we wschodniej części Morza Śródziemnego. Dalej — konferencja wiedeńska trzech państw z paktu rzymskiego; wreszcie podróże w tym kierunku szeregu ministrów francuskich".

Że nie próżnują także Niemcy, dowiedziała się L'Humanité, dając nam pod tytułem: „Tajny układ między Niemcami, Włochami, Portugalją i generałem faszystowskim Franco" następujące rewelacje:

„Mamy informacje z pewnego źródła, że został podpisany tajny układ między Niemcami, Portugalją i generałem buntowniczym Franco. Ten układ ustala, po zwycięstwie powstańców, następujące punkty: 1) Wyspy Kanaryjskie odstępuje się Niemcom. 2) Niemcy będą mogły założyć bazy lotnicze i morskie na wyspach Bissagos (naprzeciw Gwinei portugalskiej. Niemcy już tam założyli bazę łodzi podwodnych). 3) Jedną z wysp Balearskich otrzymają Włochy. 4) Niemcy przyznają Portugalji specjalne prerogatywy gospodarcze. Na podstawie tego układu Portugalja utworzyła legję antykomunistyczną".

A przecież jeszcze wczoraj pisano, że Hiszpanji w jej idealnych granicach nic zzewuątrz grozić nie może!

Pracują też komuniści francuscy — i to nietylko w kierunku pomagania hiszpańskiemu frontowi ludowemu. Oto z dalekiej północy dochodzi do nas wiadomość, że nieco ambarasujący nasz gość z przed dwóch tygodni nie powrócił, jak mówiono, do Paryża. Donosi bowiem Rigasche Rundschau:

„Sekretarz generalny partji komunistycznej francuskiej, p. Maurycy Thorez, przybył do Rygi, powróciwszy samolotem z Moskwy via Kowno. Po krótkim pobycie p. Thorez pojedzie do Tallina, Helsingforsu i Sztokholmu".

Ryska wiadomość nie przeszła bez echa w Paryżu. Cele jednak podróży wybitnego działacza są widać dobrze zakonspirowane, bo oto żali się Le Matin:

„Zasięgaliśmy informacyj u paryskich źródeł komunistycznych. Okazało się jednak, że nie mają one żadnych sprecyzowanych danych co do celów podróży p. Thorez'a i nie są w stanie ani potwierdzić, ani zaprzeczyć podanej wiadomości".

Azet.

Odpowiedzi Redakcji

Ambrożemu. Wogóle jest to przedsiębiorstwo nowe i różnie w różnych państwach traktowane. Tak naprz. w Anglji wszelkie polityczno-agitacyjne przemówienia są w radjo zakazane. W innych krajach wybitni przywódcy wszystkich partyj mają dostęp do mikrofonu. W niektórych natomiast, jak Niemcy, Sowiety i in. przed mikrofonem może się produkować jedna tylko rządząca partja. W St. Zjednoczonych działa kilkaset stacyj; może je zakładać i rejestrować każda gmina czy sekta, lub wogóle jednostka prawna. Owszem, sprawa zasługuje na szersze rozważania.

„Bursiakowi". Wincenty jest to imię pochodzenia łacińskiego od „vincere" — zwyciężać, znaczy więc zwycięzca.

P. Mioduszewskiemu z nad Tanwi. Dziękujemy. Oczywiście Pańskiej ciekawości zaspokoić nie możemy inaczej, jak przesyłając w liście do prywatnego użytku.

Kwapiszance (?) Bardzo trafne uwagi, ale wnioski, naszem zdaniem, błędne. Lud Polski jest tak zdrów moralnie i ma tyle sił niespożytych, że w odpowiednim momencie poradzi sobie z tem bez potrzeby uciekania się do pomocy policji. Drugą część uwag podzielamy, ale jesteśmy bezradni.

X. Kanonikowi M. we Lwowie. Za słowa uznania i zachęty bardzo serdecznie dziękujemy. P. K. współpracuje z nami.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O № 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w Warszawie zł. 1.50; na prowincji zł. 2.— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; 1/2 str. — zł. 125.— 1/4 str. — zł. 75.—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 11-91-03.